CZERWIEC 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04

T R E Ś Ć:

WYJAŚNIENIE.

Konstatując z żywem zadowoleniem fakt, że pismo nasze rozchodzi się niemal już równomiernie we wszystkich dzielnicach państwa, aż do najdalszych kresów i wśród wszelakich poważniejszych sfer inteligencji, że wywiera coraz większy wpływ i zainteresowanie swą treścią i sposobem ujmowania najaktualniejszych zagadnień, że wreszcie nawet zdobywa sobie zwolenników i wybitnych współautorów wśród osób, które początkowo z pewnym sceptycyzmem odnosiły się do naszego przedsięwzięcia — uważamy dzisiaj za wskazane udzielić wyjaśnienia na pewne zapytania, skierowane swego czasu do Redakcji w sprawie istotnego charakteru naszego pisma.

Zapytania te wynikły z budzących się tu i ówdzie kwestji, czy pismo o takiej treści, charakterze i nastawieniu, jakiem jest „Nasza Przyszłość", odpowiada całkowicie temu, co dotychczasowa potoczna opinja publiczna rozumie pod nazwą „miesięcznik"? Winniśmy odpowiedź.

Istotnie, pomijając perjodyczne wydawnictwa ściśle fachowe, dotychczasowa utarta opinja publiczna wyobraża sobie pod pojęciem „miesięcznika" pismo, złożone z barwnego kalejdoskopu artykułów różnej treści — od naukowej do beletrystycznej — ale noszących ogółem charakter głównie informacyjny, a nie wyciągających, albo rzadko, praktycznych wniosków czy postulatów na przyszłość. Poważny więc miesięcznik, w dotychczasowem tego słowa znaczeniu, dostarcza przedewszystkiem lektury informacyjnej i rozrywkowej, czasem też i źródłowo-naukowej. Jedne artykuły traktują np. o jakimś szczegółowym problemie prawniczym czy ekonomicznym, inne o literaturze i sztuce, inne podają jakiś przyczynek do historji lub polityki, po-

tem następuje zwykle jakaś nowela czy „dalszy ciąg“ powieści, wreszcie kronika różnych wydarzeń i bibljografja świeżych wydawnictw.

Miesięcznik taki, o ile dobrze jest redagowany i zawiera prace wybitnych autorów, może być bardzo ciekawy, poczytny i pożyteczny, niemniej jednak jest... martwy! Służy bowiem do kształcenia, informacji i rozrywki czytelnika, niejedno mu w głowie rozjaśnia, niejednej ciekawej dostarcza wiadomości, ale — ogółem biorąc — jest jakgdyby oderwany od życia, unosi się ponad niem. Rzadko zdobywa się na stawianie zdecydowanych postulatów, bardzo rzadko porywa się na rozwiązywanie stanowczem cięciem piekących bolączek państwa i społeczeństwa, zwykle unika „chwytania za rogi“ różnych aktualnych trudności życia publicznego, nie podejmuje konsekwentnej propagandy pewnych spraw i zasad, słowem — miesięcznik taki mówi i pisze, ale nie żyje aktualnem życiem. Stąd brak mu najczęściej celu i charakteru p r a g m a t y c z n e g o, a przez to także i możności wywierania jakiegoś trwalszego wpływu na czytelnika.

Można miesięcznik taki, czy dwutygodnik, czy kwartalnik czytać z przyjemnością i powinno się czytać, gdyż byłoby to społecznie wielce ujemnym objawem, gdyby inteligencja polska oddawała się wyłącznie tylko troskom dnia i interesom zawodowym, a nie znajdowała ani chwili dla pewnej kształcącej, podnioślejszej lektury. Ale wraz z zamknięciem ostatniej stronicy takiego miesięcznika, nawet najlepszego, kończy się zwykle — praktycznie biorąc — jego wpływ i chociaż zakres wiadomości czytelnika niewątpliwie się rozszerzył i zawsze coś pożytecznego w głowie mu zostanie, to jednak treść takich informacyjno-rozrywkowych artykułów nie może pobudzić go bezpośrednio do jakiegoś samodzielnego myślenia, do zdecydowanego nastawienia, a tem mniej do działania. W rezultacie tok wywodów pisma tego typu idzie jednym torem, a życie drugim i rzadkie tylko zachodzą między nimi styczności.

Trzeba więc dobrze zrozumieć, że „Nasza Przyszłość“ stwarza nowy typ miesięcznika — typ pisma żywego! I w tem leży niekiedy owo drobne nieporozumienie — coprawda bardzo rzadkie — które wyraziło się we wspomnianych interpelacjach do Redakcji. Ludzie, przyzwyczajeni do akademickiej, czy artystycznej treści poważnych perjodyków, nie mogli zorjentować się odrazu w specjalnym charakterze, celu i tonie naszego pisma i dlatego wyrażali zapatrywanie, że charakter niejednej z naszych rozpraw czy artykułów nadawałby się raczej do jakiejś poważnej prasy codziennej.

Odpowiada to właśnie utartemu mniemaniu, że tylko dziennik powinien być żywy, a miesięcznik natomiast raczej tylko pouczający, akademicki, profesorski lub artystyczny, a więc... martwy!

Może usprawiedliwioną była poniekąd taka klasyfikacja w wygodnych czasach kilkodziesięcioletniego „zbrojnego pokoju“ przed wojną światową, gdy życie płynęło stosunkowo jak z płatka i nic specjalnego, rewolucjonizującego się nie działo. A życie Polaków pod obcym zaborem było w niejednym zakresie z konieczności pragmatycznie martwem, tak, że pozostawała nam nieraz tylko ucieczka w krainę oderwanej wiedzy, historji i sztuki.

Dzisiaj warunki kapitalnie się zmieniły. Mamy z jednej strony do czynienia z państwem żywem, niepodległem, zewsząd zagrożonem, a mającem olbrzymie praktyczne zadania i olbrzymie praktyczne trudności wewnętrzne i zewnętrzne przed sobą; z drugiej strony mamy otaczający nas świat powojenny, niezmiernie ruchliwy, bojowo nastrojony, w ładzie swym i porządku dość płynny, w części nawet o tendencjach wprost wywrotowych, w niemałym stopniu przeciw nam skierowanych. Żyjemy faktycznie jak na wulkanie, niebardzo pewni jutra, z bronią u nogi, w ostrem pogotowiu przeciw różnym niebezpieczeństwom zewnętrznym i wewnętrznym. W dodatku wchodzimy w okres

prawdopodobnie bardzo poważnych przemian ustrojowych, gospodarczych, społecznych i wielu innych.

Taka epoka wymaga też innego typu miesięcznika, takiego, któryby przeżywał z nami to wszystko, co my przeżywamy, a i to także, co cały świat przeżywa; któryby trzymał rękę na pulsie naszych spraw publicznych, bolączek i gorących postulatów i był ich śmiałym, zdecydowanym, a praktycznym wyrazem. Nie wolno nam dzisiaj bawić się wyłącznie w „lekturę“, choćby najbardziej interesującą, gdyż położenie państwa i los jego obywateli stawiają przed nimi coraz nowsze, coraz bardziej piekące zagadnienia, których pod sankcją katastrofy gospodarczej, a nawet utraty niepodległości, nie wolno z akademickiem lekceważeniem pomijać i „czytać książkę w obliczu pożaru“!

Bo istotnie — jakież praktyczne dla nas znaczenie mogą mieć dzisiaj, wobec ruiny gospodarczej i wzrastającej inwazji eksportowej Sowietów, jakieś nazbyt uczone, raczej teoretyczne dygresje na temat np. zapatrywań jakiegoś niemieckiego czy amerykańskiego profesora na różne detaliczne zagadnienia prawnicze czy ekonomiczne, albo na temat porównywania szczegółów naszej konstytucji ze szczegółami ustrojowymi republiki Wenezueli? Albo jakże marne w obliczu realnego niebezpieczeństwa niemiecko-bolszewickiego są „uczone“ artykuły na temat „stosunku fabrykacji guzików lub eksportu jaj z Polski do światowych zapasów pszenicy“? Albo ulubione rozprawki na temat „stosunku rewaloryzacji złota do naszej, caraz bardziej pustej kieszeni“ — naszpikowane oczywiście nieodzownymi aforyzmami różnych dorobkiewiczów amerykańskich, Morgana, Forda czy Hoovera, bez których żaden polski artykuł ekonomiczny obyć się już dzisiaj nie może! Albo, co nas obchodzi, w obliczu palącej sprawy ruskiej, czy niemieckiej, czy pomorskiej, „światoburcze“ zagadnienie, czy świeżo znaleziona na jakiejś wysepce Dodekanezu bezręka statua Wenery miała — zdaniem profesorów z Bonn lub Oxfordu — prawą czy lewą rękę do góry wzniesioną?!

Wszystkie te kwestje mogą być interesujące i każdy wykształcony czytelnik w wolnej chwili także i o nich z ochotą przeczyta, ale pozatem mamy dzisiaj przecież o czemś ważniejszem do myślenia. Nieprawdaż?

Tę właśnie rolę „miesięcznika żywego" wzięła na siebie „Nasza Przyszłość". Żyje ona aktualnem życiem państwa i gospodarstwa krajowego, stara się sięgnąć głęboko a możliwie objektywnie i śmiało w każdą sprawę, wykazać bez pardonu najgłębsze jej przyczyny i motywy — a więc odmiennie od systemu dziennikarskiego, który zadowala się lub musi się zadowalać zwykle tylko płytką oceną faktów z dziś na jutro — stara się możliwie przewidzieć, a nawet więcej, bo kształtować przyszłość, wskazując czytelnikowi wszędzie jasno i wyraźnie drogi rozwiązania różnych problemów i to stylem mocnym, lapidarnym.

Wśród powszechnego rozproszkowania pojęć, wśród wahań, lawirowań, zdenerwowania, niepewności i apatji, wśród ogólnej atmosfery „nie wiemy i nie możemy" głosi „Nasza Przyszłość" stymulujące hasło: Wiemy i możemy — bylebyśmy tylko zechcieli!

To właśnie tłomaczy jej specjalny układ, treść i charakter, a zarazem i jej rację bytu. Żywe państwo w epoce walki o byt żywego też potrzebuje organu prasy. I taki też organ stworzyliśmy, niezależny naprawdę od żadnych postronnych wpływów, w którym objektywna myśl państwowa, oparta na ogólnych zasadach zachowawczego światopoglądu, kształci się i oddziaływa na opinję publiczną na podstawie uzgadniania inicjatywy Redakcji z inicjatywą poszczególnych autorów.

Nie dość na tem. Akcja „Naszej Przyszłości" nie ogranicza się bynajmniej do pióra. „Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę" — powiada Mickiewicz. I my też jesteśmy tego zdania. Dlatego Redakcja „Naszej Przyszłości" zainicjowała już dawno wśród pewnego szerszego grona współautorów i zwolenników pisma w Warszawie powstanie t. zw. „Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości", jako

zespołu, nie związanego żadnym statutem, ani organizacją, ale zato tem silniej związanego ze sobą pewną ideą i pewnym praktycznym celem — mianowicie dyskutowania i pogłębiania ważniejszych tematów, mających następnie znaleźć wyraz w odpowiednich artykułach miesięcznika oraz propagowania wyników tych dyskusji na zewnątrz.

„Koło Przyjaciół“, które dobrało się niemal samorzutnie z pośród osób różnych zawodów i różnego wieku, wyznających ogólny światopogląd zachowawczy, odbyło w bieżącym roku już cały szereg bardzo udanych zebrań dyskusyjnych i — o ile dotąd można osądzić — stanowić już zaczyna dużą atrakcję dla tych, którzy, nie biorąc udziału w oficjalnem życiu politycznem, mają jednak coś do powiedzenia i chcą się wypowiedzieć na swobodnym, neutralnym gruncie.

Tu więc dyskutują się objektywnie, głęboko i bez żadnych restrykcji takie np. sprawy, jak ukraińska, niemiecka, rosyjska, zmiany ustroju, dalej różne problemy gospodarcze, społeczne i fiskalne, wreszcie moralne i religijne — a to wszystko nie z punktu widzenia chwilowych perypetji i konjunktur politycznych, ale na szerokiej platformie historycznej, z oczyma zwróconemi w przyszłość. Każdy z uczestników tych zebrań przyznać musi zapewne, że panuje na nich ton szczerego i zdecydowanego przekonania i wieje z nich jakiś orzeźwiający duch, podnoszący dyskusję wysoko ponad utarte, a unikające z zasady wzmianki o jutrze dyskusje partyjno-polityczne. Schodzą w tych zebraniach na drugi lub trzeci plan przemijające aktualja, które stanowią dzisiaj jedyny pokarm dla prasy codziennej, a natomiast na pierwszy plan wysuwa się P o l s k a — ze swą przeszłością i prawdopodobną przyszłością. Uczestnicy zebrań postawieni są w rzadkiej dzisiaj możności wypowiadania szczerych, objektywnie argumentowanych przekonań i dlatego uczą się i kształcą wzajemnie w ujmowaniu i ustalaniu każdego przedmiotu.

Nie chcemy zbyt daleko sięgać w przewidywaniach, ale

na podstawie dotychczasowego przebiegu zebrań „Koła Przyjaciół N. P.“ odnosimy wrażenie, jakgdyby rodziła się tu i kształciła pewna szkoła objektywnej myśli państwowej w różnych dziedzinach, która, choćby na razie nie miała bezpośredniego politycznego wpływu, jednak stanowić może pewną pepinierę przyszłego nastawiania się inteligentnych warstw społeczeństwa polskiego w różnych konkretnych kierunkach, od czego przyszłe losy państwa, a zwłaszcza odpowiednie wykorzystanie różnych sytuacji i okazji dziejowych w znacznym stopniu mogą zależeć.

I ten cel, ściśle „pragmatyczny“, przyświeca Redakcji i współautorom „Naszej Przyszłości“.

Redakcja.

NA MARGINESIE DUMPINGU SOWIECKIEGO.

Redakcja pozwala sobie zwrócić uwagę Czytelników na niniejszy zwięzły a doskonały artykuł jednego z młodych, ale bardzo wybitnych współautorów naszego pisma, ujmujący z pewnych punktów widzenia sprawę naszego stosunku do Rosji w myśl dyskusji, toczącej się obecnie na zebraniach warszawskiego „Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości“.

Dumping sowiecki — tyle razy słyszeliśmy już te dwa wyrazy, tyle razy czytaliśmy je, zawsze zaopatrzone w komentarze groźnych, wymownych, przekonywujących argumentów, iż możnaby mniemać, że już aż nadto zdajemy sobie sprawę z tych dwóch wyrazów i z tego, co one znaczą.

Co więcej jeszcze — możnaby przypuścić, że skoro słowa dumping sowiecki są programem, którego ostrze skierowane jest na zachód, to my, Polacy, lubujący się oddawna w szczytnym przydomku „przedmurza zachodu“, zdołaliśmy dla odparowania tego grożącego nam ciosu odpowiedni, własny program wypracować. Że nie oglądamy się nawet na to, co o dumpingu sowieckim myśli zachód (lubimy przecież podkreślać ignorancję zachodu w sprawach rosyjskich!), że — znając dobrze Rosję (lubimy także popisywać się znajomością tego, co nazywamy Rosją!) — wypracowaliśmy ten własny program ochronny nietylko dla obrony zachodu, dokonywanej przez polskie „przedmurze“, ale przedewszystkiem dla całkiem egoistycznej obrony naszych własnych, zagrożonych przez dumping interesów. Że program ten realizujemy konsekwentnie, świecąc w tem rodzinie narodów zachodnich, jako „dobrzy znawcy spraw sowieckich“, jako najbliżsi, bezpośredni sąsiedzi Sowietów, godnym naśladowania przykładem.

Tak możnaby myśleć, czy przewidywać. W rzeczywistości — jest zupełnie inaczej. Nie mogąc bowiem tłomaczyć się brakiem znajomości Sowietów i celów komunizmu, brakiem doświadczenia w stosunkach z nimi, wreszcie oddaleniem, ograniczamy się jednak jakgdyby tylko do naśladownictwa zachodnich narodów w sprawach sowieckich: nie mamy więc w tym względzie żadnego konsekwentnego programu, różnimy się sami ze sobą w zapatrywaniach na tę sprawę, działamy od wypadku do wypadku, łakomimy się na drobne, doraźne a wątpliwe zyski, idąc ku niewątpliwym a kolosalnym stratom, a „polityką" tą nietylko nie przeciwstawiamy się na serjo temu, co lubimy określać platonicznie jako „groźne niebezpieczeństwo", ale przeciwnie — przyspieszamy tylko termin tego wszystkiego, co z drugiej strony czerwonego kordonu realizowane jest planowo, bezwzględnie i z żelazną konsekwencją.

Oczywiście, problem sam w sobie nie jest ani prosty, ani łatwy do rozwiązania. Naprzeciw temu, co Rosja sowiecka niesie światu na swych krwawych sztandarach, nie stoimy sami jedni. Stoimy w grupie narodów, zależni w wysokim stopniu od wzajemnego oddziaływania na siebie członków tej grupy. Musimy jednak pamiętać o tem, że podczas gdy inne narody mogą mniej lub więcej bez ryzyka pozwolić sobie na to, by błędnym wzrokiem odczytywać biernie litery haseł, wypisane na czerwonych płachtach sowieckich — to my jedni jesteśmy chyba ostatnim z kolei narodem, który mógłby sobie na tę niebezpieczną bierność pozwolić. Skoro jednak nie stoimy tu sami, to spróbujmy najpierw określić, jakie stanowisko zajmują wobec dumpingu sowieckiego społeczeństwa zachodnie, do których przecież się zaliczamy.

Bez przesady stwierdzić tu możemy, że dumping sowiecki jest nietylko programem, ale i walką, czy raczej jednym ze sposobów walki, którą od szeregu lat toczy czerwony kolos planowo i bezwzględnie z zachodem. Jeżeli więc mamy do czynienia z walką, jeżeli istnieje z jednej

strony jednolity, wielce aktywny i bezwzględny front sowiecki, to czy istnieje z drugiej strony jakiś jednolity front przeciwny? Takiego frontu niema. Kapitalistyczny zachód, któremu Rosja sowiecka wypowiedziała jawną walkę na śmierć i życie, to nie obóz walczący, czy choćby tylko warowny obóz obronny, ale luźna grupa narodów, zajmujących najzupełniej różne wobec jednolitego programu przeciwnika stanowska.

Widzimy więc tu wprost życzliwych, dalej życzliwie-neutralnych, obojętnych i biernych. Nie widzimy zaś nikogo, ktoby zajął postawę aktywną, ktoby chciał czerwonej ofenzywie przeciwstawić kontrofenzywę własną. Tak więc mamy tu życzliwie współdziałające z systemem sowieckim państwa, jak Italję, a przedewszystkiem Niemcy, które chlubią się tem, że na mocy zawartych układów „ostrze dumpingu sowieckiego nie będzie przeciw nim wymierzone“; mamy Anglję, zajmującą stanowisko życzliwie neutralne, mimo przykrych doświadczeń z niedawnem zdobywaniem domu Arcosa w Londynie, gdzie za stalowemi płytami pancerza pracowano nad podminowaniem ustroju Zjednoczonych Królestw; mamy cały szereg państw, zachowujących się obojętnie, do których i my się zaliczamy, a nieliczne tylko wyjątki pasywnej obrony, jak Szwajcarja, czy Jugosławja, które zdecydowały się zamknąć granice dla wyrobów sowieckich; mamy wreszcie ciekawe wypadki „niekonsekwentnych“, którzy wprawdzie nie uznają Sowietów oficjalnie, lub „zamykają swoje granice“, których jednak kapitały czy inżynierowie pracują w Sowietach, byle tylko — jak się to mówi — „nie utracić rynków“. Typowym przykładem tej ostatniej grupy są Stany Zjednoczone.

Widzimy więc, jak dalece zachód jest zróżniczkowany, jeżeli nie wprost rozproszkowany w tem, co chcielibyśmy nazwać „postawą antysowiecką“! A skoro tak jest, to spróbujmy wyeliminować z naszych rozważań wszystkich „życzliwych“, a nawet „życzliwie neutralnych“ i zastanówmy się tylko nad tem, czy owi „obojętni“, a nawet ci, któ-

rzy przyjęli zasadę „pasywnej obrony“ w imię zagrożonych wspólnych interesów, nie tworzą jakiejś grupy bardziej zwartej, nie usiłują, zdając sobie sprawę z grożącego istotnie niebezpieczeństwa, wytworzyć czegoś, co niebezpieczeństwu temu mogłoby się przeciwstawiać.

Otóż, o ile rządy poszczególnych narodów tej ostatniej grupy działają bez wzajemnego porozumienia i być może według własnych jakichś programów, najczęściej jednak wprost od wypadku do wypadku, zależnie od konjunktury dnia, o ile dalej poszczególne narody nie realizują tu żadnych konsekwentnych programów własnych, zdając się w tej mierze całkowicie na to, co w danym wypadku zadecyduje „odnośny“ rząd — to istnieje przecież coś, co stoi poza szeregiem rządów, nie związanych ze sobą w konsekwentnem działaniu, co nie jest może emanacją woli poszczególnych narodów, co jednak moglibyśmy nazwać „grupą podobnie myślących ludzi“, zdających sobie choćby tylko w przybliżeniu sprawę z niebezpieczeństwa dumpingu. Ta „grupa“ usiłuje może wpływać na rządy, budzić świadomość niebezpieczeństwa w narodach, znaleźć pewną wytyczną linję, jeśli nie walki z dumpingiem, to choćby tylko jakiejś skutecznej obrony.

Organizacją tą jest Liga stowarzyszeń antybolszewickich, a jednem z głównych zadań obecnych Ligi, to uświadamianie o stopniu niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą dumping sowiecki.

Odetchnie może niejeden w tem miejscu z ulgą: „Doskonale, a więc jest jakaś tam liga, jakieś tam towarzystwo do walki z dumpingiem! Wystarczy zapisać się, wystarczy płacić lub nawet i nie płacić wkładek członkowskich, a jeśli niebezpieczeństwo nawet w ten sposób nie zostanie zażegnane, to w każdym razie będzie można, kładąc się spać wieczorem, powiedzieć sobie: „Trudno, zrobiłem, co mogłem! Jestem członkiem jeszcze jednej ligi. . .“.

Tymczasem, zapoznanie się z tą organizacją, choćby tylko pobieżne, z tym jedynym organem, na jaki dla „walki“

z czerwonem niebezpieczeństwem zdobyć się mógł „front antysowiecki“, rzuca może dopiero właściwe światło na stosunek narodów zachodnich nietylko już do dumpingu sowieckiego, ale do polityki Sowietów wogóle, do ich akcji wywrotowej, do ich „walki z Bogiem“, walki z „przesądami ustroju kapitalistycznego“ i t. p. Tem samem więc należyte oświetlenie tego jedynego organu walki, jaki w Lidze antybolszewickiej świat zachodni posiada, będzie niejako świadectwem dojrzałości, jakie świat ten, propagujący ongiś krucjaty dla wyzwolenia Grobu Świętego, świat, chowający się już potem tylko za plecami swego „przedmurza“, dziś — w blasku łuny czerwonej, zalewającej wschodni widnokrąg — sobie wystawia.

Piszący te słowa miał możność wzięcia udziału w charakterze obserwatora na walnem zebraniu delegatów związków, zblokowanych w Lidze antybolszewickiej. Zebranie to, trzecie doroczne, odbyło się w pierwszych dniach września z. r. w Genewie, a naczelnym punktem obrad było zagadnienie, spędzające dziś wielu ludziom w świecie sen z powiek: sprawa dumpingu sowieckiego.

Zebranie to, w pięknej Genewie, na wolnej ziemi szwajcarskiej, nosiło charakter konspiracyjny i to już rzuca dziwne zaiste światło na stopień siły tego, co zachód „przeciwstawia“ czerwonemu wschodowi. Przy wspólnym stole zasiedli członkowie pracujących z sobą od trzech lat organizacji i mieli wypowiadać się na temat, którego doniosłość rozumieli wszyscy.

Czy byli to może przedstawiciele rządów, czy wielkich izb społecznych, zebrani w pałacu Ligi Narodów? Nie, to było — jak nadmieniliśmy — zebranie konspiracyjne w prywatnem mieszkaniu! Delegaci — ludzie najlepszej może woli — nie reprezentowali ani rządów, ani żadnych grup społecznych, a przemawiali w imieniu nie swych narodów, ale tylko w imieniu członków, stowarzyszonych w każdym danym związku, a więc w imieniu „podobnie myślących, zgrupowanych ad hoc ludzi“.

W poglądach zaś tej grupy „jednakowo myślących ludzi“ były tak kolosalne różnice zdań, iż wystarczy tu przytoczyć, że gdy przedstawiciel Polski, po obszernym referacie, w którym przytoczono możliwie wszystkie, dreszczem zgrozy przejmujące nas fakty, jak katowanie więźniów, pracujących przymusowo dla eksportu sowieckiego (fakty te były zresztą ogółowi delegatów skądinąd już znane), postawił wniosek o potępienie dumpingu sowieckiego, jako metody i o przyjęcie linji obronnej wobec samego dumpingu (zamknięcie granic) — to przedstawiciel innego narodu zaznaczył, iż „dumpingu, jako takiego, potępić nie można, gdyż każdy rząd każdego narodu wogóle stosuje w tej czy innej mierze dumping, jako metodę polityki gospodarczej“. W rezultacie uchwalono tylko „wpływać na rządy swych krajów, by przeciwstawiały się akcji dumpingowej“.

Podobnie niejednolite stanowisko zaobserwować można było przy debatach nad innym punktem programu, nad akcją sowieckiej „walki z Bogiem“. I tu wygłoszono obszerne referaty, dostarczono całą olbrzymią literaturę dowodową, stwierdzono stopień niebezpieczeństwa, grożącego na tej drodze ustrojowi narodów zachodnich, opierających się na zasadach religji i moralności. I cóż uchwalono? Zadecydowano już nawet nie wpływać na rządy, skoro „religja nie ma nic wspólnego z polityką“, jak zaznaczył jeden z mówców — ale tylko „oddziaływać moralnie w sensie paraliżowania, o ile to tylko możliwe, akcji sowieckiej“.

Sytuacja jasna. Trudno wymagać, by Liga antybolszewicka ogłosiła dziś krucjatę, podobnie, jak trudno wymagać, by napiętnowała dumping, skoro „dumping stosują wszyscy“. Ale to właśnie, że Liga zdobyła się tylko na to „wpływanie na rządy“, względnie na „oddziaływanie moralne“, że są to więc jedyne metody walki, na które mógł się zdobyć obradujący konspiracyjnie „organ walki“ zachodu, jaki zachód ten przeciwstawić może czerwonemu wschodowi, rzuca ciekawe światło na mentalność nietylko samego organu, ale zachodu wogóle, którego przecież w danym

wypadku Liga Antybolszewicka jest tylko emanacją. Dodajmy, że członkami Ligi są ludzie poważni, doktorowie filozofji, prawnicy, uczeni, senatorowie i posłowie, b. wojskowi wyższych stopni, a nawet byli członkowie rządu!

Jakiż udział w tem Polski? Czy może Polska z mocy swego położenia geograficznego, czy choćby z mocy swej roli dziejowej, odegranej tak chlubnie w r. 1920, zajmuje w tej Lidze stanowisko dominujące lub choćby tylko jakkolwiekbądź odpowiednie?

Delegacja polska wręczyła prezydjum Ligi jako dar — medal jubileuszowy, wybity w Warszawie w 1930 r. z racji dziesięciolecia „Cudu nad Wisłą". Medal ten znamy wszyscy. Umieszczono na nim podobiznę Ojca św. i mapę Polski. Symbole tematów aktualnych w owej chwili. Wszakże Ojciec św. w r. 1930 nakazał modły publiczne za ofiary prześladowania w Sowietach, a Polska była tym jedynym krajem, który przed dziesięciu laty zasłaniał świat cywilizowany przed nawałą ze wschodu. Delegacja polska przy wręczeniu medalu przypomniała też o zasłudze Polski na rzecz cywilizacji, o jej niezmnienionej roli „przedmurza chrześcijaństwa". Czyż Polska więc na tej choćby tylko zasadzie nie mogłaby zająć stanowiska dominującego, czy przewodniczącego w Lidze?

Tak, ale w czasie obrad wyjaśniło się także, że Polska jest jedynym krajem, który na rzecz centralnego skarbu Ligi nie uiszcza żadnych rocznych opłat członkowskich — sięgających dla poszczególnych innych narodów kilku, a nawet kilkunastu tysięcy franków. Wygląda to więc z naszej strony na postulat: my was bronimy, a więc za to nie będziemy płacili! Co jest aż gorżkie w swej prostocie, ale zgodzić się z tem musimy, że tem samem już nietylko o roli dominującej, ale choćby tylko „przyzwoitej" mowy tu być nie może; że od „przedmurza cywilizacji" jeden już tylko krok do „pauvre, malheureuse Pologne", do tego natrętnego, bladego widma, jakiem była Polska na zachodzie przez dwa ubiegłe stulecia.

Spuśćmy w tem miejscu zasłonę. Pomińmy przyczyny (brak drobnych nawet funduszów!), dla których Polska nie opłaca wpisowego do instytucji, która mutatis mutandis mogłaby być uważaną choćby tylko za rodzaj instytutu doświadczalnego (jeśli nie za „organ walki“), w którym moglibyśmy studjować stopień grożącego nam ze strony dumpingu sowieckiego niebezpieczeństwa i hodować kultury jakichś antytoksyn. Przejdźmy natomiast na własny grunt i stwierdźmy na wstępie, że w kraju posiadamy aż dwie Ligi antybolszewickie (które oczywiście nic o sobie nawzajem wiedzieć nie chcą), co rzuca odrazu właściwe światło na sprawę. Rozważmy, jaki jest nasz własny stosunek do spraw sowieckich, choćby do tego tylko, co zwiemy dumpingiem.

Stosunek ten jest w teorji oczywiście negatywny. Jesteśmy mniejwięcej zgodni między sobą co do tego, że system bolszewicki jest nam wstrętny, że godzi w nasze zasady moralne i społeczne, że dumping uważamy w teorji za jeden z systemów walki ustroju czerwonego z naszym ustrojem.

Skoro zaś zgodni jesteśmy co do tego, iż dumping jest narzędziem walki, skoro rozumiemy, iż walkę tę prowadzi z nami planowo, bezwzględnie i nieubłaganie f r o n t s o w i e c k i — to czy możemy stwierdzić u siebie coś, co moglibyśmy nazwać frontem przeciwsowieckim, choćby tylko frontem obronnym wobec dumpingu?

I tu, rozejrzawszy się w naszych stosunkach, dostrzegamy, że u nas, u tych sąsiadów bezpośrednich czerwonego caratu, u tych „najlepszych w Europie znawców spraw rosyjskich“, historja genewskiego posiedzenia Ligi antybolszewickiej stale niejako się powtarza. Mamy wśród nas i życzliwych i neutralnych i biernych, chcielibyśmy, aby w stosunkach naszych z Sowietami i wilk był syty i owca cała, boimy się „utraty zysków“ i konkurencji, chcielibyśmy „zarobić“, czy „przetrzymać“, ale nie posiadamy ani jednolitego frontu, ani programu działania — jesteśmy w istocie

bierni lub działamy od wypadku do wypadku, w gruncie rzeczy czekając, co będzie dalej.

Zastanówmy się trzeźwo nad sytuacją. Czy jesteśmy sami przeciwnikami? Nie. Wiemy tylko, że z tamtej strony frontu działa przeciw nam przeciwnik przy pomocy dumpingu. Skoro zaś my nie działamy, nie parujemy ciosów, to nie możemy uważać się za przeciwnika, a skoro tak jest, to czem w takim razie jesteśmy?

Może jesteśmy kontrahentami w sprawach gospodarczych? Może za nasze towary, wywożone do Sowietów, otrzymujemy złoto? I to nie. Czytaliśmy niedawno, że monopol na złoto i platynę sowiecką otrzymali Niemcy, jako zabezpieczenie pokrycia z tytułu przypadających im należności ze stosunków handlowych z Sowietami. Cóż tedy my otrzymujemy, jeśli Niemcy otrzymują złoto? Otóż, na mocy umów, zawartych z Sowietami, te ostatnie płacą nam za dostarczone towary „gotówką lub towarem". Wiemy też dobrze, iż gotówka, o której tu mowa w teorji, to w praktyce — gwarantowane przez nasz Skarb długoterminowe weksle. Jak wygląda zaś w praktyce spłata należności „w towarze", wiemy dobrze choćby na podstawie jednej z ostatnich tranzakcji łódzkich, kiedy to Łódź, jako należność za swą manufakturę, otrzymała setki wagonów... żyta, a więc towaru, z którym nie wiemy, co robić w kraju, towaru, którego cena rynkowa spadła u nas oddawna znacznie poniżej kosztów wytwórczych, utrzymując się w praktyce na wysokości mniejwięcej 10 zł. za cetnar metr., co jest oczywiście katastrofą dla naszego rolnictwa. I oto owe setki wagonów dumpingowego żyta sowieckiego były ofiarowywane skwapliwie przez naszych krajowych agentów po cenie 6 zł. za cetnar metr.!

Jeżeli chodzi o towar dumpingowy, to Sowiety nie przebierają w niczem. Przemysł leśny np. Finlandji i Austrji został w ten sposób zrujnowany już prawie doszczętnie. Powie ktoś jednak może, że są to tylko pewne, aczkolwiek wielkie odcinki życia gospodarczego. Ale przecież niedawno

czytaliśmy we wszystkich gazetach, że Sowiety zadecydowały u siebie „rekwizycję“ 250.000 psów! Psy mają być zabite, ze skóry zaś tych „barbosów“ i „łajek“ mają być sporządzone rękawiczki (echtes Hundeleder), a towar ten rzucony ma być na rynki zagraniczne niżej wszelkiej możliwej ceny, byle tylko poderwać i tę gałęź wytwórczości na zachodzie.

Czyż więc mamy utrzymywać stosunki z Sowietami „za wszelką cenę“, czy „sprzedawać“ będziemy im nasze towary choćby za cenę rękawiczek z psiej skóry, czy może i trocin, jeśli Sowietom kiedyś ich dumpingowego żyta zabraknie? Czyż niema granic, którychbyśmy w naszej ustępliwości nie przekroczyli?

Nasz wielki przemysł zdaje się wyznawać zasadę, że stan obecny musi być utrzymany za wszelką cenę. Fabryki mają iść pełną parą i „sprzedawać“ w Rosji, bo jeśli przestaniemy pracować w ten sposób, to miejsce nasze zajmie ktoś inny. Tą metodą produkujemy ze stratą, byle produkować, byle „przetrzymać“, słowem: Pereat mundus, fiat fabrica!

Wygląda to tak, jakbyśmy — zapatrzeni w przeszłość — nietylko nie mogli się zdobyć na jakiś program na przyszłość, ale nie widzieli nawet naszej aż nadto chyba wyraźnej teraźniejszości. Myślimy ciągle kategorjami przedwojennemi. Polska, a ściśle biorąc — Królestwo Kongresowe — pracowało „na Rosję“, t. j. zarabiało na kolosie rosyjskim, było w swej produkcji przemysłowej nastawione na wschód. A więc dalej w tym kierunku — mimo wszystko! Pełną parą, nie zmniejszać produkcji, nawet *nie zmieniać* produkcji! Niech się dzieje, co chce, byle: durchhalten!

Ale zapominamy w tem wszystkiem o jednem: że *stosunki zmieniły się radykalnie i nie*

powrócimy już nigdy do powyższej, przedwojennej „normy“. Ci, którzy zapatrzeni w dawną carską Rosję, gdzie zarabiali tak dobrze, usiłują „pracować“ z nową Rosją, którzy dumpingowe towary sowieckie reklamują na szpaltach swych najbardziej „narodowych“ dzienników, nie chcą widzieć tego, że dzisiejsza Rosja sowiecka korzysta tylko czasowo z ich naiwnych usług, póki nie zrealizuje swej „piatiletki“. Gdy to nastąpi, to nietylko nie będzie już mowy o „utrzymaniu dawnych rynków“, ale staniemy z naszym „nastawionym na Rosję“ przemysłem wobec olbrzymiego, groźnego konkurenta, wyhodowanego po części i naszem współdziałaniem, który ruszy na zdobycie naszych rynków.

A może liczy się tu na nową, przyszłą, pobolszewicką Rosję, może kalkuluje się, iż ta przyszła Rosja będzie mniejwięcej taką, jaką była Rosja przedwojenna?

Ależ nawet nasi „znawcy“ Rosji, przyznać chyba muszą, że przy uwzględnieniu choćby tylko tego, co zwiemy prawem reakcji, trudno przypuścić, aby była to jakaś bierna masa. Będzie to raczej jakiś kolos ekspansywny, zaborczy, który „upomni się o swe prawa“, zechce dochodzić testamentu Piotra i Katarzyny i ruszy znów na zachód, a granicami jego żądań minimalnych z tej strony będą po dawnemu San, Ziemia Chełmska, Wilno i Grodno. Za tę cenę chyba nie zechcemy pertraktować o „utrzymanie naszych rynków zbytu“?

Reasumujemy. Dumping sowiecki usiłuje poderwać nasz przemysł, by ułatwić drogę pochodowi „zwycięskiej rewolucji“. Nie twierdzimy bynajmniej, iż jedyną przyczyną naszego kryzysu jest dumping sowiecki. Musimy jednak przyznać, że w wysokim stopniu utrudnia nam zwycięskie wyjście z tego kryzysu. Rozwiązując więc nasze wewnętrzne trudności gospodarcze, postarajmy się przedewszystkiem usunąć wpływ dumpingu. Zechciejmy, mówiąc kategorjami wojskowemi: „oderwać się od nieprzyjaciela“.

Chcemy koniecznie handlować z Sowietami? Dobrze — ale w takim razie bierzmy od nich go-

t ó w k ę, a nie topmy w błocie sowieckiem naszych towarów! Bierzmy nawet ostatecznie towary, ale tylko takie, których nie produkujemy w kraju!

A dalej, jeśli już mowa o rozwiązywaniu naszych wewnętrznych trudności, zastanówmy się, c z y n i e c z a s z e r w a ć j u ż z u t o p j ą m a s o w e j p r o d u k c j i a r t y k u ł ó w, z k t ó r y m i n i e w i e m y, c o r o b i ć ? Czy nie czas przypomnieć sobie o wiecznie żywych, nigdy nie przedawnionych prawach życia, owych prawach adaptacji, elastycznego przystosowywania się organizmu do nowych warunków? Czy jednym ze skutecznych środków ratunkowych na kryzys nie będzie tu zwrócenie się na drogę produkcji tego, czego nam przedewszystkiem potrzeba, np. choćby tylko wełny, czy chemikaljów, czy konserw? Dalej, skoro chcemy iść skutecznie drogą eksportu, czy nie powinniśmy pójść stanowczo p o l i n j i o g r a n i c z e n i a i l o ś c i p r o d u k c j i n a r z e c z j a k o ś c i, a z a r a z e m p e w n e j s t a n d a r y z a c j i n a s z y c h t o w a r ó w, zwracając przytem baczniejszą, niż dotąd, uwagę na solidność w wypełnianiu tranzakcji z naszej strony, a b y n i e t y l k o t o w a r b y ł w y s o k i e j k l a s y, a l e a b y ś m y i m y s t a l i s i ę d o s t a w c a m i w y s o k i e j k l a s y ?

Dumping sowiecki jest zjawiskiem grożnem już choćby dla swej bezwzględności, z jaką jest prowadzony. Czyż dlatego mamy przedstawiać wobec zjawisk tego rodzaju masę bierną, rozproszkowaną, usiłującą przywrócić uparcie, za wszelką cenę, jakiś niemożliwy do przywrócenia status quo ante? Czy nie powinniśmy przypomnieć sobie raz jeszcze, przy tej okazji, że jesteśmy wielkim narodem, który świadomie musi iść ku swoim celom i który nie może dać się niczem steroryzować, a na próbę sparaliżowania odpowiedzieć musi zdecydowaną reakcją pewnego, konsekwentnie przeprowadzonego programu?!

Zwycięstwo należy do tych, którzy inicjatywę biorą w swoje ręce! **Karol Koźmiński.**

„REVENONS AU TRAVAIL!“

Nie możemy dziś już „powrócić do natury“, jak radził Rousseau, bo zbyt wysoko rozwinęła się i skomplikowała cywilizacja, ale zato możemy i musimy powrócić do — pracy!

Cały świat rozbrzmiewa dzisiaj hasłem jej wzmożenia — wzmożenia jej intensywności i wydajności. Jest to obecnie, w okresie dotkliwego kryzysu gospodarczego, jednem z haseł najbardziej popularnych.

A jednak zarazem jednem z najbardziej próżnych! Istnieją i tworzą się wszędzie coraz nowsze instytucje i zrzeszenia, rządowe lub społeczne, coraz nowsze środki i systemy, mające na celu ochronę, racjonalizację i spotęgowanie pracy.

Istnieją już nawet i laboratorja w Ameryce i Europie, gdzie praca ludzka niemal na wadze chemicznej jest odważana.

A jednak, mimo tych wszystkich haseł i udoskonaleń, jakoś źle się dzieje z tą pracą i dokoła tej pracy. Źle wszędzie, a najgorzej chyba w Polsce. Występują na jaw wprost paradoksalne zjawiska. Im bardziej owe hasła, prądy, instytucje i udoskonalenia starają się podnieść pracę i uszlachetnić, tem bardziej działa ona... demoralizująco!

Bo ludzie poprostu nie chcą pracować! Chcą zarabiać, ale faktycznie nie chcą pracować.

Praca — jak głosi nauka fizyki — jest to pokonywanie pewnego oporu na pewnej drodze. Można to było zastosować w dawnych dobrych czasach i do pracy ludzkiej. Dzisiaj natomiast praca — owa nadmiernie wydoskonalana i aż do śmieszności pielęgnowana praca — polega właśnie na u c h y l a n i u s i ę o d p o k o n y w a n i a j a k i e-

gokolwiek oporu na jakiejkolwiek drodze. Celem demoralizującym nowoczesnego pojęcia pracy w praktyce (bo pomijam oczywiście wszelkie teorje) jest sztuka prześlizgiwania się przez życie po linji najmniejszego oporu.

Nauczyły się tego już i najszersze warstwy ludności, pracujące umysłowo lub fizycznie, gdyż było im to konsekwentnie wbijane w mózgi od lat kilkudziesięciu, a zwłaszcza przez ostatnich kilkanaście. I wywołało to rezultat organiczny, żywiołowy, który paraliżuje wszelkie hasła i wysiłki intensyfikacji i racjonalizacji pracy.

Co to jest praca ludzka? To realizacja siły twórczej, która buduje i wznosi, uszlachetnia, upiększa i zdobywa. To podstawa i uosobienie potęgi materjalnej i duchowej. To źródło nietylko materjalnego zarobku, ale i wewnętrznego zadowolenia i moralnego podniesienia człowieka.

Dawniej nie mówiono tyle o pracy, a jednak tworzono wspaniałe dzieła ducha i ręki. Dziś cały świat się nią opiekuje, a tworzy się coraz większa tandeta, demoralizacja i — miljony bezrobotnych! Wychodzi jakgdyby na to, że dawniejsza praca, w twardszych dokonywana warunkach, lepsze dzieła tworzyła i lepiej ludzi karmiła, niż dzisiejsze, z dniem każdym łatwiejsze i wygodniejsze i coraz większą „opieką“ otaczane warunki pracy, a raczej — powiedzmy szczerze — warunki oficjalnie protegowanego lenistwa.

Słyszę ciągle krytyczne zdania o demokracji i zadaję sobie nieraz pytanie, dlaczego idea ta, sama w sobie niegdyś tak szczytna i sprawiedliwa, o której tylu marzyło i tylu legło w walce o jej zwycięstwo, po zwycięstwie swem stała się stopniowo przyczyną tylu dolegliwości, ucisku, a nawet klęsk, jakie pod jej niezaprzeczonym wpływem cała ludzkość obecnie przechodzi? Dlaczego niemal wszystko to, co demokracja wypisała niegdyś na swych sztandarach, zmieniło się wprost na opak? Dlaczego to jej hasła, wzywające wszystkie warstwy społeczeństwa do jak-

największego i najszlachetniejszego obywatelskiego wysiłku, osiągają dziś — i nie od dziś dopiero — wprost przeciwne rezultaty?

Bo demokracja — nie ta teoretyczna, idealna i nie ta, która wyraża się w pewnych nowoczesnych normach państwowego ustroju — ale ta rzeczywista demokracja, z którą codzień się spotykamy w urzędach, na zebraniach, w prasie, w związkach zawodowych, w domach prywatnych i na ulicy (zwłaszcza na ulicy!)... przewróciła poprostu ludziom w głowie i to nietylko najszerszym i najciemniejszym masom. Ta żyjąca, praktyczna, rzeczywista demokracja ma bowiem to do siebie, że gdziekolwiek zetknie się z życiem, tam odrazu zamienia się na demagogję. A gdzie raz poczęła się demagogja, choćby z początku względnie umiarkowana, tam już niemasz zatrzymania na równi pochyłej, ale bieg w przepaść coraz bardziej się przyspiesza. Na dnie zaś tej przepaści w dobie obecnej leży — jak powszechnie wiadomo — bolszewizm.

Oto wytłumaczenie kierunku, w jakim nieuchronnie zmierza cała kwestja pracy oraz jej materjalnych i moralnych rezultatów pod jednostronnym wpływem idei demokratycznej.

Jest jeszcze i druga zniekształcająca pracę przyczyna, równoległa z demokracją co do czasu i skutków działania: maszyna. Zrodzona równocześnie z demokracją w drugiej połowie XVIII wieku, zapanowała szybko nad światem, wprowadzając najdalej idącą rewolucję w stosunkach ludzkiego życia i pracy. Myślał człowiek, że maszyna będzie wygodnem a powolnem narzędziem na jego usługach. Tymczasem ani się spostrzegł, jak ten „żelazny cielec" zapanował nad nim zupełnie, jak autokratycznie rządzić zaczął na całym świecie, wywołując krwawe przewroty i wojny, obalając trony i zakuwając rzesze robotnicze w daleko cięższe nieraz pęta, niż istniały w dawniejszym stanowo-cechowym ustroju.

Przemysł przeniósł się z prywatnych warsztatów rę-

kodzielniczych do wielkich centr produkcji, gdzie licznie nagromadzona ludność robocza, nieraz wyzyskiwana przez chciwych fabrykantów, znienawidziła odrazu nietylko ich, ale i... maszynę. Znienawidziła ją, gdyż ona zniszczyła jej ciche warsztaty domowe, zagłuszała ją swym hukiem i zmusiła do bezdusznej, mechanicznej pracy, bez nadziei lepszego jutra. A gdy huk maszyny ustawał, to owe setki i tysiące ludzi wiedziały, że jutro chleba nie będzie.

Stąd lud roboczy pracuje od początku w nienawiści do maszyny, która i robotnika i właściciela w żelazne chwyciła kleszcze. A z tej nienawiści rodziły się kolejno idee wywrotowe, socjalizm i komunizm, łudzące lud roboczy mirażem takich praw i przywilejów, któreby go — wbrew wszelkiej rzeczywistości — chroniły od zbyt wielkiej pracy. Z tego zaś wyłoniło się stopniowo dzisiejsze, praktyczne, ultrapostępowe przekonanie szerokich mas, że *praca jest złem koniecznem, które więc należy redukować do minimum.*

Oto etap, do któregośmy dzisiaj doszli. I który znowu wiele, a w prosty sposób tłomaczy!

W miarę wzrostu przemysłu maszynowego i tworzenia się wielkich centr przemysłowych wzrastał i handel do niebywałych przedtem rozmiarów. Handel ten nie zadowalał się już normalnymi, sprawiedliwymi zarobkami, — ale żądano coraz więcej i więcej... Wymiana towarów i kapitałów przybrała szalone tempo, podobnie, jak i maszyna przemysłowa. Handel i przemysł przybierać zaczęły cechy coraz bardziej spekulacyjne, tracąc dawną ciągłość i solidność, fortuna kolosalnych zysków i skandalicznych bankructw poczęła toczyć się zawrotnym rozpędem koła. A z nimi i praca zaczęła zamieniać się z twórczej na spekulacyjną, budząc wszelkie najgorsze instynkta ludzkie, szarpiąc nerwy, wypaczając najprymitywniejsze poczucia etyki, wypleniając w ludziach poczucie obowiązku i zamiłowanie do zawodu.

Rozmach całej tej, coraz bardziej spekulacyjnej pracy

gospodarczej, niesionej rozpędem maszyny, konjunktury i hazardu, czyni aparat gospodarczy coraz bardziej wrażliwym na najmniejsze zmiany konjunktur, na najmniejsze niepowodzenia różnych warsztatów pracy, czy przewidywań przedsiębiorców. Siła nabywcza ludzkości, zwłaszcza po strasznym ciosie wojny światowej i niemniej dotkliwych hamulcach olbrzymich ciężarów społecznych, którymi utopje radykalne obciążać zaczęły gospodarstwo światowe w najniewłaściwszym momencie, zaczęła się załamywać, nie będąc w stanie dotrzymać kroku nadmiernej, absurdalnej, żadną potrzebą nie uzasadnionej podaży ze strony producentów i handlowców. Odbiło się to oczywiście na produkcji i handlu — i stąd setki tysięcy, potem miljony bezrobotnych znalazły się na bruku.

Znalazły się na bruku bez nadziei lepszego jutra! I dlatego ci bezrobotni, których jest dziś na świecie w państwach cywilizowanych już kilkadziesiąt miljonów, znienawidzili także tę niszczącą nerwy i egzystencję, prawdziwie djabelską pracę, która nie zabezpiecza im nawet jutra. W takiej sytuacji domagają się coraz gwałtowniej tego zabezpieczenia, nie bacząc oczywiście na to, czy i jakim kosztem jest to możliwe. Bo cóż może te głodne a zdemoralizowane rzesze obchodzić fakt, że ten zasiłek darmowy, jaki chwilowo otrzymują, że cała ta opieka społeczna, jaką państwo nad niemi roztacza, dzieją się kosztem ruiny gospodarstwa krajowego i grożą im utratą tej pomocy! A wszelkie idee społecznego wywrotu, z socjalizmem i komunizmem na czele, znajdują w takiej sytuacji tem łatwiejsze żerowisko, wbijając w bezkrytyczne mózgi głodnego a zdemoralizowanego tłumu, że praca jest przekleństwem.

„Powstań, przekleństwem napiętnowany!“ — głosi jeden z hymnów bolszewickich. Tem przekleństwem ma być właśnie — praca! Tak więc praca, zamiast być podstawą szczęścia i dobrobytu ludzkości, staje się obecnie jej przekleństwem i jarzmem. Taka praca nie może być oczywiście twórczą!

Ale żyjemy prawie już w połowie XX-go wieku, pełni zdobytego doświadczenia we wszelkich kierunkach. I pod wpływem praktycznej obserwacji tego wszystkiego, co się na świecie dzieje, zwłaszcza od ostatnich lat kilkunastu, nasuwa się każdemu, zdolnemu jeszcze do objektywnego myślenia, walne zagadnienie, czy człowiek, który przecież własnemi rękoma zbudował maszynę i stworzył handel, nie jest istotnie w stanie tak ich opanować i ujarzmić, aby one jemu służyły, nie zaś on był ich niewolnikiem?!

Aby zawiły ten problem móc rozwiązać, a nawet choćby tylko drogę do jego rozwiązywania odnaleźć, należy — zdaniem mojem — oderwać się na chwilę od dzisiejszych, niezmiernie skomplikowanych stosunków, pojęć, doktryn, namiętności i bezgranicznego łakomstwa, a przenieść się myślą wstecz do... cichego Nazaretu. Jakże to „nie fachowo“ i „nie naukowo“ wygląda w porównaniu ze wszystkiemi nowoczesnemi „zdobyczami“ postępu, uczonej socjologji i ekonomji! A jednak...

Widzimy tam Syna ubogiego cieśli, za którego ludzie Go mieli. Ręczną pracą zarabia na chleb powszedni, w pocie czoła. A jest to Bóg! Mógł urodzić się w królewskim pałacu, a jednak uświęcił urodzeniem Swem i życiem ubóstwo, a Swą cichą, najpierw ręczną pracą, dał nam najwspanialszy jej przykład. Potem zaś, stając się Nauczycielem, ukazał potęgę umysłowej pracy, podjętej w imię prawdy; nauczył nas myśleć i pracą tą umysłu sięgać niebotycznych wyżyn nawet w szarem życiu codziennem.

Jeżeli więc Bóg zstąpił na ziemię, aby pracować, aby dać przykład rzetelnej pracy fizycznej i umysłowej, to żaden człowiek, który nie uważa siebie za bezduszne, mechanicznym tylko instynktem żyjące stworzenie, nie może traktować pracy jako ciężar niesprawiedliwy, z którego wyzwolić się trzeba, a tem mniej za przekleństwo! Tak bowiem wypaczone pojęcie jest w istocie przeciwnem zdrowej ludzkiej naturze i musi człowieka demoralizować i życiowo wykoleić. A do zdemoralizowania i wykolejenia najszer-

szych warstw społeczeństwa dążą właśnie dzisiejsze doktryny i organizacje wywrotowe, a dążą tylko po to, aby tak zdemoralizowaną i wykolejoną jednostkę poddać pod jarzmo stokroć cięższej niewoli, niż jest w stanie nałożyć ją na człowieka najcięższa nawet, ale dobrowolna, z poczucia obowiązku i z zamiłowaniem podjęta praca.

I tak np. obywatel Rosji bolszewickiej, którego znęcono do rewolucji mirażem dojścia do dobrobytu bez pracy, rabunkiem cudzego dorobku i mienia, wpadł wnet potem w nędzę bez granic, a teraz zmuszany jest siłą do ciężkiej pracy bez żadnego, nawet w przybliżeniu sprawiedliwego wynagrodzenia, poprostu tylko za łyżkę lichej strawy i wiązkę słomy — jako nędzne, skazane na śmierć zwierzę robocze, które właściciel jego wykorzystuje do ostatnich sił, aby jeszcze ich resztki jako tako zużytkować. I tak pojęta i tak realizowana praca ma być wzorem dla całego świata, drogą wytyczną do stworzenia demokratycznego „raju na ziemi"!

Jakżeby wolał taki proletarjusz bolszewicki dawną swą izbę, czysty stół z ławą dokoła i misę z dobrą strawą, którą stawiała przed nim żona! Jakżeby za ten najskromniejszy dobrobyt, choćby ciężką pracą zdobyty, oddał z chęcią cały swój dzisiejszy „raj proletarjacki"!

A cóż dzieje się u nas z pracą? Przypatrzmy się jej w szkole, miastach, chatach i warsztatach. A zacznijmy od młodzieży.

Dawniej — i to nie dawno jeszcze — nietylko rodzice, ale i szkoła nakłaniały dzieci do sumiennej pracy i obowiązku. Nie silono się na wszelakie koncepcje i dziwactwa, aby tylko dziecku wszystko ułatwić, aby ograniczyć wszelkiemi możliwemi wymówkami i pozorami czas i rozmiar pracy, aby otoczyć je wszelkiemi możliwemi rozrywkami i sportami, aby mu w dodatku przewracać w niedojrzałej głowie jakimiś koleżeńskimi sejmami i samorządami. Dziecko chodziło do szkoły poto, aby się poprostu uczyć.

i basta, o jego zdanie nikt nie pytał, żądano od niego odpowiedniego wysiłku i zaprawiano je zawczasu do twardego a pożytecznego obowiązku.

Dziś postęp — więc oczywiście wszystko inaczej! Rok szkolny liczy w teorji dziesięć miesięcy, ale po odliczeniu różnych wakacji świątecznych, uroczystości, rocznic, obchodów, wyjazdów obowiązkowych na osiedla i t. d. — prócz świąt zwyczajnych — pozostaje na naukę nie więcej, jak osiem miesięcy. Co chwila jakieś wymówki i powody do skracania czasu pracy i to tak dalece, że aż już rozsądniejsze dzieci żartować sobie z nowoczesnych szkół i z nowoczesnych pedagogów zaczynają!

Dzisiejszy program nauki różni się od dawnego przedewszystkiem tem, że jest o kilka lat przesunięty w górę tak, że czego dawniej uczono się bez trudu w szkołach powszechnych, to dziś przełożonem zostało do nauki dopiero w gimnazjach. Mając dwuch synów w szkole, widzę często ze zdumieniem, że różne rzeczy, których uczyłam się w III lub IV klasie szkoły powszechnej, o tem uczą dzisiaj dopiero w II klasie gimnazjalnej! W rezultacie takiego systemu, będącego w głębszej swej istocie rezultatem pewnego wpływu radykalistycznej redukcji pracy, rozwój umysłowy naszych dzieci doznaje bezwzględnie zacofania i opóźnienia, którego oczywiście nie są w stanie zrównoważyć rozmaite roboty ręczne, śpiew, godziny „swobodnych pogadanek“, wyjazdy na zbijanie bąków w osiedlach i tym podobne sposoby redukcji rzetelnej pracy, które — i to w mniejszych rozmiarach — uprawiano dawniej w szkołach freblowskich, a dzisiejszy „postęp w lenistwie“ podniósł ten system aż na poziom gimnazjalny.

Zapaleni radykali i inni uszczęśliwiacze ludzkości atakują nawet instytucję matury w imię „proletarjackiego“ ułatwienia każdemu chłopcu prześlizgnięcia się z możliwie najmniejszym trudem przez szkołę średnią. Bo przecież całą tendencją i kwintesencją

nowoczesnego „postępu“ jest redukcja ilościowa i jakościowa pracy we wszelkich jej dziedzinach!

W śmiesznym zapale ułatwiania dziecku nauki książkowej systemem obrazowym (poglądowym) dochodzi się do rezultatów wprost przeciwnych. Ta obrazowość bowiem, uprawiana np. w podręcznikach, nie jest logicznie z sobą powiązana i dlatego wychodzą z niej nonsensy, które dzieciom zrozumienie rzeczy niepotrzebnie utrudniają. Nadto styl wielu podręczników jest taki, że — mówię bez przesady — nawet wykształcone osoby nie są czasem w stanie dojść wątku myśli autora. Znajdują się np. w podręcznikach z I klasy gimnazjalnej w jednem zdaniu splątane ze sobą trzy odrębne pojęcia, nie przegrodzone nawet przecinkami, których sensu dociec niepodobna. Gdy więc pilne dziecko wykuje taki „obrazowy“ ustęp na pamięć, jak papuga, nie rozumiejąc zeń oczywiście ani słowa, to zbiera się cała rada familijna, aby najpierw rozgryźć to, co właściwie autor-pedagog chciał powiedzieć, a potem wykłada się tę przypuszczalną interpretację tekstu dziecku dawnym, dobrym sensem i językiem.

Widząc raz, że mój synek z I klasy gimnazjalnej uczy się o Karpatach, chciałam go z tego przepytać. Sądziłam (oczywiście według „przestarzałych“ pojęć), że wymieni mi najważniejsze ich części składowe, szczyty, rzeki, jakie z nich wypływają i ważniejsze miejscowości, u ich podnóża położone. Tymczasem zaczął recytować tak:

„Gdy pilot wzniesie się aeroplanem nad Karpaty i stanie nad niemi, to ujrzy w dole wiele ładnych rzeczy. Są tam hale, na których pasie się bydło, a mieszkańcy budują sobie chaty z chrustu. . .“.

Nie pytałam dalej, ale ta nowoczesna metoda „obrazowo-poglądowa“, której rezultat zajaśniał tak wymownie w tej odpowiedzi, zniewoliła mnie do dodatkowego nauczenia chłopca coś niecoś o naszych Karpatach w sposób prosty, zwięzły i — naturalny!

Tak więc nowoczesny, postępowy system nauczania, zrodzony w prostej linji z bolszewizującego dziś na całym świecie prądu redukcji pracy do minimum, chce oszczędzić dziecku normalnego, niezbędnego w każdej nauce wysiłku myśli, osiągając jednak właśnie przez to wprost przeciwny rezultat: obarcza dziecko zbytecznym i mało zrozumiałym balastem, mechanizuje aż do bezmyślności jego umysł, nudzi je i odstręcza od przedmiotu, który uczeń w parę dni potem zapomina. W głowie dziecka wytwarza się frazeologiczny chaos, mimowolny wstręt do pracy, a rezultat tego wszystkiego jest taki, że dzisiejsi uczniowie nie znają nieraz najprostszych rzeczy, które nam doskonale i bez wysiłku były wiadome w znacznie młodszym wieku.

Młodzież dzisiejsza, mimo wielu dobrych jej cech i porywów, coraz mniej i coraz później się rozwija w porównaniu z analogicznymi okresami życia w dawniejszych czasach. Wstępuje w życie zawodowe niedość przygotowana, a co najgorsza, zarozumiała, bo ma już przewrócone w głowie „samorządami szkolnymi" i różnemi „uprawnieniami" uczniów, zwłaszcza bardzo szeroko pojmowanemi uprawnieniami do „wolnego czasu", w czem już widoczny objawia się wpływ radykalizmu w pojęciach o pracy. Młodzież wdrażana jest poprostu w wykręcanie się sianem z każdego wysiłku i wyobraża sobie życie jako fruwanie z posady na posadę, w poszukiwaniu li tylko coraz większych poborów, z lekceważeniem fachowości i wydajności pracy zawodowej. Najmłodszy chce być odrazu „dyrektorem" (mniejsza o to czego), lub conajmniej „kierownikiem", „prezesem" i t. p. A ponieważ warunki życiowe nie są dziś tak łatwe, aby te wszystkie pretensje zaspakajać, więc mnożą się zastępy aroganckich wykolejeńców, traktujących wprost niepoważnie życie i pracę, pełnych goryczy i poprostu zdemoralizowanych.

O zamiłowaniu do zawodu i pracy niema u nich mowy, są dla kraju i własnej przyszłości mniejwięcej straceni. Bo nikt nie szkolił w nich racjonalnego pojęcia o pracy, jako

podstawy i celu życia, nikt nie uszlachetniał w ich umysłach tego pojęcia. Uwagi zaś rodziców spływały po nich, jak woda.

Jeżeli więc chcemy wyrobienia niezbędnej tężyzny życiowej i obywatelskiej w przyszłych pokoleniach, od których los kraju będzie zależał, to musimy już w wieku szkolnym zaprawiać młodzież do obowiązku i zamiłowania w pracy i system wychowania i nauczania odpowiednio do tego dostosować. Bo system dzisiejszy, mimo powierzchownych pozorów, urabia z dzieci naszych w gruncie rzeczy ultrademokratów — w gorszem tego słowa znaczeniu — przygotowując wśród nich całkiem wyraźny grunt dla bolszewizmu. Burzy w nich naprawdę pojęcia jakiegokolwiek autorytetu i zaprawia do przepływania przez życie z możliwie jaknajmniejszym wysiłkiem. I dla nich już praca jest „przekleństwem" i to... nudnem przekleństwem!

A cóż powiedzieć teraz o przeciętnym ogóle starszego pokolenia polskiej inteligencji? W niem uderza odrazu, na pierwszy rzut oka, ogromnie nierównomierny podział pracy. Jedni są zamęczeni, tracą zdrowie i nerwy i na nic — poza swym codziennym kieratem — czasu nie mają; nieraz nawet na zwykły posiłek. Inni znów wiodą arcywygodny żywot, mniejwięcej pasorzytniczy, zajmując tysiączne wpływowe i dobrze płatne synekury lub żerując na społeczeństwie kompletnie bezużytecznie jakimiś zagadkowymi „interesami".

— Idę na miasto robić interesa! — Oto często słyszane zdanie w sferach, społecznie nawet dość wysoko stojących. I taki pan często zbiera pieniądze, niewiadomo skąd i za co? Byle kieszeń jakiemś mniej lub więcej uzasadnionem pośrednictwem napełnić, mniejsza o resztę! Ani pracy, ani wysiłku, ani zasługi, ani szlachetniejszej ambicji, ani nawet jakiejś rozumnej myśli o jutrze. Wziął, kupił, sprzedał, pieniądze zgarnął, a potem niech i potop nastąpi! Co jego to obchodzi!

I niestety przyznać trzeba, że w dzisiejszych warunkach tym właśnie ludziom stosunkowo najlepiej się powodzi. Mimo „światowego kryzysu gospodarczego“ pieniądze jakoś zawsze mają, są niezależni, biur utrzymywać nie potrzebują, bo ich „praca“ załatwia się gdzieś w powietrzu. Wszak tytuł prezesa lub dyrektora „świeżego powietrza“, stosowany dawniej z ironją tylko do próżniaków, zdobył sobie dzisiaj jednak prawo obywatelstwa i nawet pewne „ekonomiczne uzasadnienie“, tak dalece, że każdego człowieka nieco starszego, nie zajmującego żadnego określonego stanowiska, jest zwyczaj w towarzystwie tytułować „prezesem“. Pokazuje się też nieraz, że taka prezesura lub dyrektura od świeżego powietrza, to jednak bardzo intratna posada: praca żadna, conajwięcej nałogowo a powierzchownie uprawiane „konferencje“, a dostatnio się żyje, stosunki się ma, automobil się ma i wykwintne towarzystwo się przyjmuje!

Jeśli zaś chodzi o prawdziwą, konkretną, dobrze określoną pracę na jakiemkolwiek polu, to wiemy doskonale, jak ona jest dziś trudną, żmudną, niewdzięczną, a w skutkach niestety aż nazbyt często jałową, mimo najlepszych chęci i największych wysiłków.

W takiej bowiem pracy — prawdziwej, rzetelnej, pełnionej z zamiłowaniem i poświęceniem — nie bierze się u nas często pod uwagę ani wartości tej pracy, ani wartości danego pracownika, jego inteligencji, fachowości i innych realnych walorów. Niemasz dla takiej pracy ani prawdziwego szacunku, ani możności wybicia się na jej podstawie na wyższy poziom społeczny i materjalny. Traktuje się ją tylko jako pewien sposób zarobkowania i nic więcej. Rzadko tylko spotyka się taka praca z prawdziwem uznaniem, rzadko przynosi pracownikowi realne korzyści. Często natomiast jest wprost lekceważona.

— Niech dla nas haruje — podśmiewają się spryciarze życiowi — a jak nam będzie niepotrzebny, to: der Mohr hat seine Pflicht getan, der Mohr kann gehen. . . !

I dzieje się to mniejwięcej we wszystkich sferach inteligencji!

Stąd dla jednostki prawdziwie kulturalnej, o wyższym poziomie ducha i szlachetniejszych pojęciach o pracy i obowiązku, praca w dzisiejszych warunkach przynosi ze sobą — oprócz normalnych trudności — morze całkiem zbędnych przykrości, tych niezliczonych drobnych a ostrych kamyczków pod nogami na każdym kroku, które wprawdzie człowieka nie zabiją, ale tak mu dokuczą, tak nerwy mu wyszarpią i wszelki wysiłek sparaliżują, że nieraz wolałby wszystko rzucić i uciekać, byle tylko znaleźć się jaknajdalej od tej pracy i swego otoczenia.

Czego się dzisiaj żąda od pracy? Czy tego, aby była rzetelną, twórczą, jakkolwiekbądź celową i systematyczną? Nic podobnego! Człowiek, który w ten sposób obowiązki swe pojmuje, staje się wprost niewygodnym dla innych, zostaje wnet okrzyczany za fantastę, Don Kiszota, nudziarza. Precz z nim, bo przeszkadza w „kombinowaniu", w dolce far niente! A z towarzyskiego punktu widzenia, to człowiek nudny, nietaktowny!

Wymaga się więc pracy absolutnie bezprogramowej, dorywczej, w rezultatach nikogo do niczego nie obowiązującej, słowem takiej, aby wszystkim była „wygodną".

Dawne, oczywiste dla każdego pojęcia o obowiązku, pracy, tężyźnie i inicjatywie zupełnie zostały przekreślone. Im mniej pracujesz, im mniej zawadzasz — tem jesteś milszy, tem więcej uznany i ceniony, tem większą zrobisz karjerę. Oto kwintesencja psychiki i kultury bieżącej doby!

I dlatego, mimo niezaprzeczonych zdolności polskiego społeczeństwa, tyle jest u nas miernoty i biernoty. A z tą miernotą i biernotą mamy pretensje budować „Polskę mocarstwową"!!

I w najinteligentniejszych sferach praca — rzetelna, systematyczna, owocna — uważana jest w istocie za przekleństwo, a nawet więcej, bo za nietakt, za występek towarzyski. Aby to zatuszować, prawi się tem więcej o „wzmożeniu wydajności pracy“ i aranżuje się uroczyste konferencje (znowu konferencje!) w różnych szumnie brzmiących instytutach i ligach pracy!

Wszystkie sfery społeczeństwa uważają dziś pracę za zło konieczne, dla pewnych celów niestety niezbędne, ale nie jako siłę twórczą i cel życia na ziemi. W konsekwencji zmieniają ludzie wciąż zawody i posady, jak rękawiczki, śmieszne, drobnostkowe, snobistyczne personalia grają w tem wielką rolę, coraz mniej wskutek tego jest rutynowanych fachowców, a coraz więcej zarozumiałych dyletantów. A przedewszystkiem, właśnie wskutek tego pojęcia „przekleństwa pracy“, ogół społeczeństwa schodzi na... dziady!

A na to znów uczona wymówka: światowy kryzys gospodarczy!

Nie potrzebujemy rozwodzić się szeroko nad pojęciami o pracy i obowiązku, jakie wyznają dzisiejsze sfery rzemieślnicze i robotnicze. Wszak znamy je z codziennego, równie dotkliwego, jak kosztownego doświadczenia. Rzemieślnicy pracują — byle zbyć. Poco się wysilać i męczyć, poco wykazywać się sumienną pracą wobec klijenta! Jest już na szczęście tylko 8-godzinny dzień pracy, a postęp przyniesie jeszcze krótszy. Zarabia się więcej od wielu inteligentów, którzy na darmo tyle lat się uczyli. A więc przepchać i przeszwindlować robotę, zostawić pokryjomu coś niecoś niedokończonego, aby klijent znów niezadługo musiał wzywać do naprawy, no i dobrze będzie! Co tam obchodzi rzemieślnika czy robotnika, że jego firma może mieć straty, nieprzyjemności i dochodzenia, że sam wygląda na partacza! Co tam jakaś głupia ambicja zawodowa! Byle pomajstrować tyle a tyle godzin i przedstawić jak największy rachunek za „robotę“!

A potem narzeka się bezmyślnie na drożyznę, bezrobocie, brak klijenteli...

I to też jeden z powodów — niesumienność pracy ludzkiej — dla którego maszyna zastępuje coraz bardziej człowieka, wyrzucając na bruk coraz większe rzesze bezrobotnych. Dochodzi do tego, że w Ameryce konstruują już automaty w ludzkiej postaci dla sumiennego wykonywania pewnych funkcji. A więc sztuczny człowiek ma zastąpić żywego. I słusznie, bo nie będzie przynajmniej strajkować, ani żądać redukcji pracy!

Ale maszyna, to w mojem pojęciu ten „Wielki Cham“, bezduszny i bezrozumny a huczący, który stojącego przy nim robotnika przytępia umysłowo i czyni stopniowo podobnie bezdusznym, jak maszyna. Bo gdzież może robotnik, wprzągnięty niewolniczo w jakiś tam tryb olbrzymiej maszynerji fabrycznej, okazać swój talent, czy zamiłowanie do pracy! Młóci w kółko ciągle to samo, bez widocznego dla siebie celu tak, jak maszyna.

A taka praca jest oczywiście uciążliwą i nudną. Robotnik wyczekuje też tylko swego „fajerantu“, aby wydobyć się z tego piekła. Z zazdrością myśli o tym burżuju-kapitaliście, który ciągnie zyski z maszyny i z jego pracy. Więc zaczyna kombinować, jakieby nowe żądania postawić, bezrozumne, nie wytrzymujące żadnej kalkulacji, poprostu anarchiczne, które i warsztat mają zniszczyć i jego chleba pozbawić.

I wieś nasza, ta wieś, opiewana niegdyś jako „spokojna i wesoła“, nie lepiej przedstawia się dzisiaj pod względem pracy. Zniknęła u chłopa dawna „zbożna“ praca na roli. Chłop pracuje źle i niedbale, uważając pracę za „dopust Boży“, stawia coraz większe, demagogją dyktowane żądania, niszcząc tem większą własność, a i własny dobrobyt, a przytem z zawiścią patrzy na maszynę, która mu chleb odbiera. Nie zdaje sobie sprawy, że ta maszyna właśnie dlatego została sprowadzona, aby oszczędzić na niedbałych

rękach roboczych i coraz radykalniejszych wymaganiach robotników rolnych.

Chłop spogląda łakomie na pańskie pole i kombinuje, jakby te porządnie obsiane łany w swe ręce dostać i co z nimi zrobić? Tymczasem, w oczekiwaniu takiej rewolucji i zaboru cudzego mienia, woli zbytnią pracą się nie natężać, ale robi u siebie tylko tyle, co konieczne. Zapędza niekiedy dzieci do roboty, ale te, zdemoralizowane demagogją i przykładem ojca, starają się go pod tym względem naśladować, a nawet przewyższyć.

Gdy dorosną, a bieda dopiecze, każde z nich wylatuje w świat, bo dla ojca i matki i dla własnego domu pracować mu się nie chce. Synowie jadą zagranicę, córki na służbę do miasta, aby się modnie ubrać i w znacznej części zmarnować.

Żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, aby podnieść kulturę rodzinnej zagrody. W zetknięciu z cywilizacją miejską przewraca im się w głowie, myślą tylko o ustawach, broniących ich przed uczciwą pracą, przemianowaną przez demagogów na „wyzysk chlebodawców". W rezultacie trzymanie służby domowej staje się coraz bardziej uciążliwem, przykrem i bezcelowem; gospodynie wolą pracować same, niż mieć w domu wiecznego wroga i złodzieja i stąd potęguje się z każdym rokiem kryzys służby domowej. Tysiące zdemoralizowanych sług, przybyłych ze wsi, włóczy się z jednego biura pośrednictwa do drugiego, z niechęcią przyjmuje posady, na których nie chce dłużej przebyć, jak kilka tygodni lub miesięcy i wciąż błąka się na bruku miejskim, jak psy bezdomne, bez stałej pracy, zarobku i porządnego dachu nad głową. I one także — te sługi — nienawidzą pracy i dlatego właśnie w państwach cywilizowanych służbę domową zastępować zaczyna też coraz bardziej maszyna!

Milczą w zimie kołowrotki po chatach, upada piękny dawny przemysł ludowy, który był nietylko źródłem zarobków, ale równocześnie owocem szczerego zamiłowania do

pracy i artystycznego poczucia. Gdzież te chłopskie płótna, te oryginalne hafty, koronki i barwne stroje! Są jeszcze, ale jakże rzadkie i jak rzadko naprawdę w chłopskim warsztacie, a nie w fabryce wykonywane! Ale dzisiaj rozpolitykowana dziewucha woli przystroić się w miejską tandetę u żyda, wyglądając w niej karykaturalnie.

I pod tym więc względem dawna estetyka wiejska i praca ustępują miejsca tandecie, lenistwu i komicznej arogancji, a miejsce dawnego zarobku, dawnych „talarów w skrzyni", zastępuje weksel u żyda.

A gdy wreszcie dochodzi do tego, że dziedzic, nie mogąc podołać ciężarom, nakładanym na jego majątek i eksterminacyjnej demagogji warunków pracy, parceluje go między chłopów nawet za niską cenę, to chłop spostrzega po niewczasie, że z tym zwiększonym w ten sposób swym dobytkiem nie będzie mu tak dobrze, jak to sobie w swej bolszewizującej wyobraźni obiecywał; że będzie źle, nawet bardzo źle. Bo im większy majątek, tem większe ciężary, tem większy kryzys rąk roboczych, tem gorsze warunki pracy. Trzeba głową nadrabiać, a że chłop głową nadrabiać nie lubi, więc rośnie z dnia na dzień niezadowolenie i zniechęcenie i... znowu zawiść do pracy.

Reasumując to wszystko, niepodobna zaprzeczyć, że wszystkie te szumne frazesy o „pracy" i o „ludzie pracującym", to istotnie tylko frazesy i nic więcej. A wszystkie te szumnie reklamujące się instytuty pracy, to — mimo najlepszej woli i idealizmu ich twórców — w ostatecznej konsekwencji tylko mimowolne rozsadniki lenistwa i pomniejszyciele zamiłowania do pracy. Bo wszystko, co pracę nadmiernie chce ułatwić i zredukować, dyskredytuje jej szczytną misję w społeczeństwie i zamienia ją mimowoli na tandetę i przekleństwo, demoralizując ludzi, osłabiając ich zdolności twórcze i płodząc w umysłach spekulację, aby z każdego obowiązku jak najmniejszym kosztem, albo i sianem się wykręcić. Nie podnosi to wszystko pojęcia o pracy na należny jej piedestał, jako racji bytowania ludzkości na ziemi, jako

życiodajnego źródła, jako walnego czynnika moralności i tężyzny.

Tyle prawi i pisze się dziś o różnych gospodarczych i społecznych klęskach ludzkości, tyle głów i rządów wysila się w każdem państwie nad „przezwyciężeniem kryzysu“. Ale nie spostrzegłam jeszcze nigdzie, aby ktokolwiek wpadł na myśl, że uzdrowienie stosunków gospodarczych i społecznych niemożliwem jest bez podniesienia wysoko w górę sztandaru pracy i uwolnienia jej z tego demokratycznego przekleństwa, które piętnuje ją jako zło konieczne, dążąc do jej redukcji pod każdym względem. Bo jeżeli gdziekolwiek zwiększono ustawową liczbę godzin pracy, to również tylko pod naciskiem grożącej katastrofy społeczno-gospodarczej, a więc — jako zło konieczne.

A w Polsce, w tej Polsce, co to chce być „mocarstwową“ i w której roi się od różnych lig, związków, instytutów i prezesów „racjonalizacji i wydajności pracy“, ustawa karze kryminałem nawet za dobrowolną umowę o przekraczanie socjalistycznego czasu pracy. Dochodzi do tego, że niekiedy sami robotnicy, zainteresowani w szybszem wykonaniu roboty i większym zarobku, a więc i w przedłużeniu godzin pracy, kłamać muszą przed funkcjonarjuszem urzędu, że wykonują nadliczbową robotę... bezinteresownie!!

Otóż te stosunki radykalnie muszą się u nas zmienić, jeżeli „Polska mocarstwowa“ nie ma być pustym frazesem i pośmiewiskiem dla różnych naszych mniej doktrynerskich, a zato więcej praktycznych nieprzyjaciół! Praca musi być oswobodzona z pod całej tej nadmiernej, demoralizującej i rozleniwiającej „opieki“, która jest w gruncie rzeczy—mimo humanitarnych pozorów — niczem innem, jak narzędziem, narzuconem nam przez niesumienną, bolszewizującą demagogję dla zanarchizowania i osłabienia społeczeństwa polskiego. Trzeba zmienić ogólne nastawienie narodu. Zamiast myśleć o ustawicznych redukcjach pracy, ułatwieniach i t. zw. racjonalizacji — czyli w gruncie rzeczy: tandetyzacji — pracy, zamiast przewracać w głowie szerokim ma-

som o przekleństwie pracy, z pod którego mają się „wyzwalać“, zamiast prawić im o jakimś demokratycznym „raju bez pracy“, który realizuje się naprawdę w postaci głodowego raju bezrobotnych, rzucić i realizować trzeba hasło wolności pracy i sprawiedliwej równowagi między wysiłkiem a wynagrodzeniem, między uprawnieniami a obowiązkami pracownika. Ustawodawstwo polskie i tendencje naszego społeczeństwa powinny dążyć do hartowania ludzi w pracy, do zachęcania wysiłku i zdolności twórczych, usuwając krępujące je dotąd więzy. Praca i jej rezultaty powinny znajdować już conajmniej odpowiednie uznanie w społeczeństwie, a państwo, jeżeli chce rzeczywiście owocną opiekę nad pracą roztoczyć, powinno jej wybitne rezultaty nawet w jakiejś formie premjować, zamiast karać dobre chęci. Nie zdobyta przypadkiem „posada“ lub „wybitne stanowisko“, które w dzisiejszych demagogicznych stosunkach aż nazbyt często pierwszym lepszym „dzieciom szczęścia“ się dostają, ale wysiłek i efekt pracy muszą stać się w Polsce miernikiem uznania i szacunku dla danej jednostki.

A wówczas — lepiej będzie w Polsce i aż nas zadziwi szybki powrót „lepszych czasów i stosunków“, do których nadaremnie dotąd wzdychamy. Bo uszlachetnienie pracy podniesie na wyższy poziom całe społeczeństwo, tak pod względem materjalnym, jak i moralnym. Praca stanie się produktywną, dążenia szerokich sfer społeczeństwa zdrowe i logiczne, pożyteczna inicjatywa znajdzie odpowiednie poparcie. Pieniądz zacznie garnąć się do Polski.

Nadewszystko zaś, gdy praca przestanie być „złem koniecznem“ w opinji ogółu, a stanie się tem, czem być powinna — błogosławieństwem, załagodzą się bez żadnej wątpliwości zawiści społeczne, znikną zniechęcenie i apatja, a zrodzi się w duszach naszych to, czego nam dotąd najbardziej brakuje: radość życia!

Marja z Paygertów Bobrzyńska.

DUCHOWA PODSTAWA WALKI Z BOLSZEWIZMEM.

Widmo bliskiej a groźnej przyszłości prześladuje mnie i dręczy we dnie i w nocy. I nie jest to sugestją strachu, jak sądzą niektórzy z przyjaciół moich, ani wytworem rozgorączkowanej, chorej wyobraźni. Nie, widmo, o którem mówię, wyrasta z rzerzywistości, z tego, na co patrzymy własnemi oczami, albo od bezpośrednich świadków słyszymy: niby chmura czarna, brzemienna piorunami, pędzona od najbliższego nam wschodu, od Mińska i Kijowa, od Smoleńska i Moskwy. Co będzie — pytam — gdy nagle pewnego dnia znajdziemy się wszyscy w kleszczach czerwonego terroru?

To samo pytanie, temi samemi niemal słowami, stawia w swoim liście otwartym do przyjaciół Francuzów jeden z najwybitniejszych, najszlachetniejszych, najbardziej utalentowanych kapłanów niemieckich, Fryderyk Muckermann: *) „Pytam oto — pisze — bo i we dnie i w nocy myśl ta mię gnębi; pytam, bo znam Rosję, bo sam w więzieniach czrezwyczajki rok cały spędziłem; nie o Liège, czy Verdun dziś chodzi i nie o Warszawę albo Belgrad, ale o Europę i Azję; o to chodzi, zwłaszcza nam, katolikom, czy sowiecka Moskwa zapanuje nad Rzymem; tak, o to chodzi!"

I nie wolno o tem nie myśleć, nie wolno siebie tem łudzić, że wycieńczona głodem i nędzą, nie jest Rosja zdolną do militarnego wysiłku. Ludzie mrą z głodu, ale czerwona armja opływa w dostatki; budżet wojenny wynosi miljard rubli złotem; jeden za drugim idą przez Litwę kowieńską pociągi z Niemiec, zapełnione narzędziami zniszczenia; pod kierunkiem inżynierów i techników niemieckich 300 blisko

*) Por. miesięcznik „Der Gral", 1931, marzec.

fabryk sowieckich wyrabia rocznie 37 miljonów kilogramów materjału wybuchowego dla siebie i dla Niemiec; w razie potrzeby Sowiety wystawić mogą na stopie wojennej 15 miljonów żołnierzy.

Więc nie wolno nam nie myśleć o tem, że stoimy przed możliwością bliskiej, bardzo bliskiej katastrofy, jakiej jeszcze nie widział świat. A wynikiem jej byłoby ustalenie powszechnego komunizmu, to znaczy przeistoczeniu świata w jeden wielki warsztat pracy, lecz takiej, w którym jednostka ludzka, stworzona na obraz i podobieństwo Boże, zostałaby poniżoną do roli automatu bez myśli i woli, spełniającego pod biczem dozorcy wyznaczoną robotę, a za to miałaby zapewnione minimum egzystencji i nic ponadto, bo niczego więcej nie ma prawa potrzebować człowiek-automat. Niebezpieczna zaś myśl o Bogu, unosząca człowieka z piekła gorszej, niż pańszczyzna, niewoli w kraju wolności i szczęścia, będzie wówczas — według zapewnień sowieckich — doszczętnie wytrzebioną z duszy ludzkiej i nie będzie komu zaszczepić ją z powrotem. Wszak postanowiono tam, że za lat trzy nie będzie już w Rosji ani jednej świątyni, ani jednego kapłana.

Bywały w historji epoki straszne; powiem więcej: niema w niej chwili, którąby nie przejmowała grozą dokonywanych nieprawości, a jednak słusznie mówi Fr. W. Förster, że nigdy dotychczas dusza ludzka nie gubiła się tak beznadziejnie w celach ziemskich. Pysznimy się z tryumfów genjusza wiedzy i techniki nad światem zewnętrznym, w rzeczywistości zaś nigdy świat zewnętrzny nie miał takiej, jak dziś, władzy nad duszą człowieka. Tyle się mówi o nowoczesnej kulturze duchowej, ale kulturę tę utożsamiamy z wiedzą naukową, jakże zaś jedno od drugego jest dalekie! Np. nauka patologji idzie naprzód krokiem coraz szybszym, lecz co z tego, skoro wola tak haniebnie składa broń przed tem wszystkiem, co w człowieku jest patologiczne, przed najobrzydliwszymi instynktami i zboczeniami. To zaś, co rozumem nazywamy, do tego głównie służy, ażebyśmy

zwierzę w człowieku rozpętać i usprawiedliwić mogli. I gdybyż zepsucie nasze nie szło dalej, jak do zezwierzęcenia; ale człowiek ma do wyboru jedno z dwojga: albo wznieść się nad zwierzę, albo spaść poniżej jego *).

Niestety, spadamy! Pomimo to, w każdym z nas żyje potrzeba nieskończoności; we wszystkiem, czego pożądamy, wola sięga dalej, niż sięgnąć jest w stanie: irrequietum cor; to głód Boga. „Będziecie jako bogowie" (eritis sicut dii) — słowa te stoją napisane na pierwszej stronie historji, nad całą historją ludzkości się unoszą; nezwyciężoną są pokusą, „falsyfikacją wołania Bożego, obietnicą kłamstwa, odpowiadającą co dnia potrzebie wewnętrznej i rzeczywistej" **). *Możemy* jej zadośćuczynić z Bogiem lub przeciw Bogu. Istnieją tylko te dwie alternatywy: „Czy zechcę — słowa M. Blondel'a — żyć dla Boga, umierając dla świata i dla siebie tak, ażeby Bóg mojem ja się stawał — czy też, chcąc samemu sobie wystarczyć, odrzucę Boga i pragnąc nieskończenie, nie będę pragnął nieskończoności (vouloir infiniment san vouloir l'infini) ***).

Nie daje nam dobra ani natura, ani rozum nasz, a jednak dobro jest i jest samo przez się, jest Bogiem. I choć niejeden nie dostrzega, nie czuje obecności Boga ani w życiu prywatnem, ani w życiu publicznem, ani w historji i zastanawiając się nad tem, gotów byłby o Bogu zwątpić, jednak głos Boży brzmi w sumieniu naszem dość głośno, ażebyśmy go dosłyszeć mogli: „Błąkałem się, jako zabłąkana owca, szukając Cię na zewnątrz, a Ty byłeś we mnie" (ego erravi sicut ovis, quae perierat, quaerens te exterius, qui es interius).

Ale Boga tego poznać chcemy bliżej, poznać konkretnie, chcemy, ażeby zstąpił w tragiczne głębie życia nasze-

---

*) F. Förster: „Christus und das Menschliche Leben", 1922 (München, Beinhardt).

**) L. Laberthonnière: „Pages choisies", 1931. (Paris, Vrin), 1931, por. s. 121 — 2.

***) Por. M. Blondel: „L'Action" (str. 354).

go, pocieszył nas, pokrzepił, dopomógł: „Ach, gdyby Bóg tu wśród nas, na ziemi, zamieszkać zechciał — mówi stare żydowskie przysłowie — wszystkie drzwi i okna stałyby przed Nim otworem!“ I tu chrześcijaństwo przychodzi nam z pomocą. Gdy mędrcy greccy drogą rozmyślań nad jestestwem Boga dochodzili do idei Logos (słowa), to w chrześcijaństwie Logos objawił się jako fakt, jako rzeczywistość historyczna, jako żywa osoba. Poznali chrześciajnie Logos nie jak mędrcy starożytni, nie przez kategorje metafizyczne i logiczne, lecz ujrzeli i uczcili Słowo, wcielone w Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym Zbawicielu świata. Wszystko to — Wcielenie, Odkupienie, Zmartwychwstanie — jest tajemnicą Wiary, niedostępną rozumowi. Z jakiejkolwiek strony podchodzimy do niej, wszędzie ciemność; nie daje się wyjaśnić, ani tem bardziej udowodnić. Rzucamy dowody, przechodzimy do faktów. I oto staje przed nami fakt historyczny, w historji jedyny pod względem znaczenia swojego: widzenie apostoła Pawła pod Damaszkiem. A wizja ta nietylko spowodowała nawrócenie wroga i prześladowcy Chrześcijan, nietylko natchnieniem się stała i pobudką dla apostoła narodów do heroizmu apostolstwa; ona jest także punktem zwrotnym w dziejach myśli ludzkiej, punktem wyjścia do tej koncepcji przeznaczeń świata i człowieka, którą w zarysach wspaniałych nakreślił apostoł, która podstawą jest chrześcijańskiej teologji i filozofji, chrześcijańskiego poglądu na świat.

Tam, pod Damaszkiem, zetknął się Paweł ze Zbawicielem konkretnie, usłyszał głos Jego, ujrzał go „w jasności, jaśniejszej nad słońce“. A więc Chrystus żyje, a więc dokonał tego, czego nie dokonał nigdy żaden śmiertelny: zwyciężył wroga największego, jakiego ma człowiek: śmierć! Przeciw śmierci protestuje natura nasza wszystkiemi siłami, tymczasem krok każdy do tej śmierci nas zbliża. Więc czemże jest śmierć? Oczywiście karą — odpowiada apostoł — karą za przestępstwo, za grzech. Umieramy wszyscy, wszyscy przeto w grzechu jesteśmy, w grzechu

się rodzimy. Jeden wyzwolił się z pod prawa śmierci: Jezus Chrystus. Zaiste więc był tym, za kogo siebie podawał, Mesjaszem — Synem Boga Żywego. Był bez grzechu, a zatem nie za siebie umarł, ale umarł za nas. I nas, którzyśmy uwierzyli w Niego, w podwoje wiekuistego żywota wprowadzi. W odkupieniu streszcza się dobra nowina, którą On nam przyniósł, a fakt zmartwychwstania, czyli zwycięstwa nad śmiercią, jest faktem centralnym w historji; wszystko, co przedtem było, ku temu zmierzało, wszystko, co potem, jest konsekwencją tego: „Gdyby Chrystus nie zmartwychwstał — woła wielki myśliciel i prorok Włodz. Sołowjew *) — świat okazałby się niedorzecznością, królestwem złego, fałszu i śmierci; gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, to któżby mógł zmartwychwstać?“ I w zachwycie nad tryumfem życia woła apostoł: „Gdzież jest zwycięstwo twe, śmierci? Gdzież jest, śmierci, oścień twój?“ W oczekiwaniu zaś epoki, do której podąża odkupiona ludzkość, objął apostoł i te sfery życia, o których nikt wówczas nie myślał i mało kto dziś myśli; zastanowił się nad upośledzonym stanem zwierzęcia, które „wzdycha i, jako rodząca, boleje aż dotąd“, a upośledzenie to i niewolę mistycznie powiązał z upadkiem człowieka. I troskliwie wygląda stworzenie, aż synostwo Boże znowu w nim, w człowieku, zajaśnieje, bo wówczas „będzie uwolnione z niewoli skażenia na wolność chwały dróżek Bożych“.

Tryumf życia nad śmiercią, objawiony w Zmartwychwstaniu, był dla wielkiego filozofa i wizjonisty odpowiedzią na wszystkie wątpienia **).

„Żywię już nie ja — pisze apostoł Paweł w liście do Galatów — ale żywie we mnie Chrystus“. Brać słowa te na-

*) Por. ostatnie jego dzieło: „Tri razgowora“ (Trzy rozmowy), 1900.

**) Wizjonistą nazywam Włodzimierza Sołowjewa, ponieważ zdumiewająco dokładnie sprawdzały się i sprawdzają genjalne jego intuicje filozoficzno-historyczne. W r. 1894 przewidział wojnę „Rosji z Japonią i klęskę, którą Rosji zadadzą Wodzowie z dalekich wysp Wschodu“ i która będzie początkiem końca Rosji ostatniej epoki dziejów.

leży nie racjonalistycznie i nie metaforycznie, nie w tem znaczeniu, że przejął się Apostoł osobą i nauką Jezusa, jak np. uczniowie Sokratesa przejmowali się jego nauką, lecz brać trzeba dosłownie, realnie. Każdy zaś z nas ma prawo stosować je do siebie w znaczeniu mistycznem, albowiem w ustanowionym na Ostatniej Wieczerzy Pańskiej Sakramencie Eucharystji Zbawiciel „wszczepia się w naszą duszę, naszą krew, naszą istność“. Sakrament ten sprowadza, jak pięknie się wyraził jeden z teologów nowoczesnych, kryzys organiczny w naturze człowieka, przeobraża jej substancję i przez tę wewnętrzną transsubstancjację utwierdza tego, w kim wiara jest żywa, w wyższem, ponad wszystką znikomść i zmienność wzniesionem życiu. „Bóg stał się człowiekiem — powiedział Św. Klemens Aleksandryjski — ażebyś ty, człowiecze, od człowieka się nauczył, jak człowiek staje się Bogiem“ .... „Nie przemienisz — słyszy Augustyn Św. głos Boga na Wysokościach — mnie w siebie, jak pokarm ciała Twojego, ale ty będziesz we mnie przemienion“ *).

Gdyby te słowa Augustyna mógł każdy z nas z czystem sumieniem za wielkim świętym powtórzyć, byłoby to już końcem historji, realizacją Królestwa Bożego, w którem „Bóg będzie wszystkiem we wszystkich“. Jakże do tego daleko! Drogą do dalekiej tej realizacji jest Kościół, społeczność kościelna, którą Apostoł określa to jako Ciało Chrystusa (Eph. I.23), to jako budowanie, w którem „i wy wespół się budujecie, abyście byli mieszkaniem Bożem w Duchu Świętym“ (Eph. II.22). Czyli Kościół tu się zaczyna — pięknie słowa te interpretuje L. Laberrthonnière **) — aby gdzieindziej się zakończyć. Rozwija się i rośnie w czasie, aby rozkwitnąć w wieczności. W tym doczesnym świecie jest On początkiem komunji dusz w miłości i Prawdzie Chrystusowej, środkiem do jej realizowania, symbolem owej

*) Conf. Ks. VII, r. 10.

**) Op. cit. 17 — 8.

aeterna in caelis habitatio, którą będzie. A na czem stoi kościelna społeczność? Na sakramencie Eucharystji, albowiem Chrystus zamieszkać musi w każdej duszy, ażeby Kościół się stał jego rzeczywistem mistycznem ciałem. Uczucie gnębiącego upokorzenia ogarnia mnie, człowieka z tego świata, gdy o tych wielkich rzeczach mówię czy piszę, mając świadomość, że nie czuję ich tak, jak powinienem czuć; że nie są one najwewnętrzniejszą treścią duszy, głęboko wszystkimi korzeniami tkwiącej w doczesności. Więc, gdzie mogę, wolę przemawiać słowami innych, nierównie godniejszych odemnie. I oto biorę „Rozmyślenia o Ewangelji" wielkiego a świętobliwego biskupa węgierskiego, ś. p. ks. Ottokara Prohaszka, w którym ziomkowie jego — i to nietylko katolicy — czczą najpiękniejsze uosobienie genjusza Węgier, „najkosztowniejszą perłę w skarbcu duchowym narodu".

Poetą był w teologji. Opowiadają o nim, że korzystał z każdego wolnego świątecznego dnia, ażeby iść za miasto i błąkać się po górach, lasach i łąkach. Radością, przypominającą Św. Franciszka z Assyżu, przejmował go kwiat każdy, brzęczenie pszczoły, szmer strumyka, lecący w słoneczne błękity śpiew skowronka. „Na wdzięcznych kształtach świata zewnętrznego — pisał — stylizuje się mój świat wewnętrzny, od niemej ich muzyki uczy się śpiewać dusza moja". I gdy ku wieczorowi z wycieczek swoich wracał z duszą podniesioną i radosną, czekał chwili, aż wszystko naokoło pogrąży się we śnie, a wtedy szedł do kaplicy domowej i tam nieraz długie nocne godziny spędzał w modlitwie, przed Sanctissimum. Nazajutrz zaś rano, bezpośrednio po mszy św., zapisywał myśli swoje, plon nocnego obcowania z Bogiem.

„Najświętszy Sakrament — czytamy w rozmyślaniach jego na święto Bożego Ciała *) — to rdzeń cedrowy,

---

*) „Rozmyślania o Ewangelji", t. II, s. 411 (Kraków 1926). Przekład ks. H. Libińskiego T. J.

przeznaczony dla orłów. Ezechiel widział, jak orły jadły rdzeń cedrów libańskich... Szczyty Libanu, rdzeń cedrów i orły odpowiadają sobie wzajemnie. Wznośmy się na te szczyty uczuciem i myślą"... „Myśli nasze słabe, mgliste, infirmae providentiae, niech ustąpią myślom Pana i Boga naszego, które w tym sakramencie jakby rozpaloną pieczęcią wrażają się nam w dusze"... „Przez Komunję Świętą sposób myślenia Zbawiciela opanowuje nasz umysł. Komunja sprawia, że podobieństwo do Chrystusa wybija się w oczach, na czole i ustach, w mowie, na całym człowieku, w całem jego życiu"... Więc „w mrok świata — woła — patrzeć nie będę, tylko w oczy Jezusa, zatapiając się w Najświęt. Sakramencie". Stamtąd spłyną „zapał, męstwo, polot do walki z odmętem duchowym i moralnym, który tam, na dole, tak zastraszające przybrał rozmiary".

Tylko świętość jest zdolna zwyciężyć w tej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza. Święci — mówi ów biskup — to „żywe Te Deum", to „góry Boże, sterczące w niebo, w wieczność"... „Gdy o nich myślę, czuję się jakby na wysokiej, cichej turni tatrzańskiej" *). Wejdźmy na nią, spójrzmy na tych olbrzymów ducha; są oni wyrazem najwyższym twórczych sił dziejowych, „to najcieplejszy, najpotężniejszy prąd, ciągnący przez historję"... To prąd apostolstwa, czerpiącego moc swoją w eucharystycznej jedności ze Zbawicielem. Prąd ten zmiecie wysiłki piekła.

Wracam tam, skąd zacząłem. Wschód sowiecki mobilizuje przeciw nam, przeciw zachodowi, wszystkie żywioły i siły destrukcyjne, a my bezczynnie temu się przypatrujemy, rządy zaś torują drogę inwazji, jakby umyślnie przygotowując swoją własną zgubę, swój koniec.

Co to znaczy? Skąd ten obłęd? Gdyby najazdem, który nam grozi, kierowały namiętności czysto ludzkie, jak żą-

*) Ib. t. II, s. 368 — 369.

dza wojny i zdobyczy, rozkosz potęgi i rozkosz używania, sądzę, że Europa zdołałaby się oprzeć nieprzyjacielowi. Ale motorem, wprowadzającym w niego owe żywioły zniszczenia, jest moc nie z tego świata. Jest to zło, jako negacja wszystkiego tego, co nas w górę ponad szarzyznę powszedności, ponad zmienność i znikomość unosi— tego, co my wyrazami Bóg, boskość, duch, dusza, dobro, piękno, miłość, litość, nieśmiertelność i t. d. określamy. A od owej mocy, która nie z tego jest świata, idą emanacje, od których krew ścina się w żyłach, jakgdybyśmy poczuli dotyk czegoś obcego, obrzydliwego, mrożącego; jedni tej ciemnej mocy pokłonili się i wprawia ich to w szał opętania, inni stoją unieruchomieni, w hipnotycznym bezwładzie, czekając, aż znajdą się w paszczy potwora. Niejednemu może śmiesznem się wyda to, co tu mówię, ale co mam począć, skoro obecnego stanu rzeczy nie umiem wytłumaczyć inaczej, jak czynnem, bezpośredniem wtrąceniem się ciemnych potęg z państwa ciemności.

I nie ja jeden tak sądzę. Oto ks. Muckermann ogłosił z powodu wycieczki przemysłowców niemieckich do Moskwy (za niemieckimi zaś pojechali i nasi) wstrząsający artykuł o djable w polityce i życiu. Sprzymierzajcie się — woła *) — z kim chcecie, tylko nie z djabłem! A wam się zdaje, że macie do czynienia z ludźmi i że we współce z nimi dobre geszefty robić będziecie. Geszeft zaćmił wam świat idei, nie jesteście zdolni do idei, oni zaś ideę mają — ideę szatańską, ideę nienawiści, ideę walki z Bogiem, ideę piekła. I piekłu służą, odbicie piekła noszą w duszach, na twarzach, a wy z nimi — to znaczy z djabłem — w chwili, gdy to piszę, siadacie do stołu i z nim, pijąc kachetyńskie wino, zajadając astrachański kawior, zawieracie przymierze!

*) „Der Gral", kwiecień 1931. Słowa autora przytoczone w skróceniu.

O, jakbym chciał, aby te słowa moje doszły do was, abyście zruzumieli, że idzie, że pędzi i zbliża się coś, czego ludzkość dotychczas nie przeżywała — że piekło, że djabeł nie jest wymysłem, nie jest zmorą, ale jest rzeczywistością! Niedawno spotkałem podeszłą wiekiem Rosjankę; trzy razy skazywaną była na śmierć. Groza rzeczy, które widziała, tragiczne nieszczęścia, co na nią padały, uduchowiły jej oblicze wdziękiem niezmiernej dobroci; nigdy równie pięknego ne oglądałem. „Opowiedz światu — mówiła — że djabeł jest...“

A ta niemoc nasza skąd pochodzi? Wiek XIX, im bliżej ku końcowi, tem bardziej poddawał się upojeniu postępem, postępem w nauce, w ujarzmiających naturę odkryciach i wynalazkach. Idea wszystkich, na tem opartych technicznych, gospodarczych, politycznych możliwości zdobywała demoniczną władzę nad człowiekiem. Postęp był więcej, niż hasłem, był bogiem prawdziwym, którego symbolem maszyna, ewangelją — gazety. Odbijało się to i na religji; katolicyzm stawał się jakiś nieśmiały. „Jak bladą, jak ślamazarną była nasza modlitwa, jak skupieniu naszemu przeszkadzali nieproszeni goście z błyskotliwego i błyskotkami wabiącego świata, gdzie się kłaniano bożkowi postępu“. Z drugiej strony, jaka podejrzliwość, jaki brak wielkoduszności, jaka ciasnota myśli i duszy ujawniała się nieraz w stosunku do tych, którzy, marząc o pojednaniu kultury z religją, szukali nowych dróg, nowych stanowisk! Ilu to przeciwników dobrej woli i gorącej wiary odepchnięto i złamano im życie!“

Słowa powyższe wziąłem z pism jednego z najwybitniejszych katolików niemieckich, prof. Hermana Platz'a. *) Poznałem go przed dwoma laty na katolickim polsko-niemieckim kongresie pacyfistycznym w Berlinie. Nie zapomnę, jak mię tam uderzał widok modlących się Niemców. Zapraw-

---

*) „Das Religiöse in der Krise der Zeit“. (Einsiedeln, Benziger) por. s. 8 — 9 i 159 — 160.

dę, daleko, bardzo daleko od rzeczy z tego świata były wtedy ich dusze. A byli to przeważnie uczeni, literaci, politycy. Po nabożeństwie, albo wieczorami, po posiedzeniach, odbywaliśmy — prof. Platz i ja — wspólne przechadzki i zbliżyliśmy się wzajemnie. Co nas zbliżyło? „Ile razy — mówił on — zdawało mi się być wśród obcych, stwierdzałem, że prędko i łatwo dochodzą do porozumienia między sobą ci, co ideał liturgiczny noszą w sercu“.

W naszem, naogół religijnie płytkiem społeczeństwie, słyszano coś niecoś o ruchu liturgicznym. Ale i wśród tych, co słyszeli, nie każdy się domyśla, jak głębokie są jego źródła. Ruch ten jest reakcją przeciw temu zniedołężnieniu uczucia religijnego, temu onieśmieleniu i zanikowi myśli religijnej, które były odbicem zapatrzonej w potęgę człowieka i hałaśliwej religji postępu, wraz z wynikającą z niej, a pyszniącą się zdobyczami w zakresie techniki, nawskroś materjalistyczną i zarazem demagogiczną kulturą, która żądzą używania porywała i wykolejała jednostki, zacierała świadomość grzechu i konieczność oczyszczenia się z niego, a tem samem niszczyła boski pierwiastek w człowieku, duszę przeistaczała w jakąś kupę gruzów.

D u s z a! Jakże dziwnie — mówi Hermann Bahr — brzmiał ten wyraz w uszach człowieka z kulturą wielkomiejską! Co to jest dusza, kto ma duszę, kto ma czas mieć duszę?! *) Ale przyszły straszliwe doświadczenia wojny i rewolucji, patrżeliśmy, jak w ręku walących się i skołatanych dusz rozwalał się świat, przypomnieliśmy sobie, że cały rozwój dziejowy toczy się drogą perjodycznych wstrząśnień, w których człowiek bezmyślnie niszczy to, co sam mozolnie budował.

Obudziła się tęsknota za organicznością, za organicznym ładem, tak w każdej pojedyńczej duszy, jak i w życiu społecznem; tęsknota, jak się wyraża H. Platz, za wyjściem

---

*) Cytuje H. Platza w „Grosstadt und Menschentum“, (Kösel u. Pustet) 1924.

z antropocentrycznego chaosu, a wejściem w teocentryczny Kosmos. Zrozumiano, jaką potęgą kształcącą, wprowadzającą ów ład do duszy i darzącą ją spokojem, jest wspólna modlitwa w obcowaniu ze Świętymi. Znajduje ona wyraz w liturgji. „Liturgja — głębokie i piękne słowa H. Platza *) — wprowadza nas w samą istotę bytu, istota bowiem bytu streszcza się w ofierze, spełnionej na Golgocie; ceremonje liturgiczne są gloryfikacją Boskiego Sakramentu, który ofiarę tę uwiecznia". Eucharystja jednoczy nas z Chrystusem i w Chrystusie jednoczy nas wszystkich, jednych z drugimi, nosque inter nos in eodem Christo conciliat et conjungit, jedno ciało z nas czyniąc (veluti unum corpus coagmentat).

Powiadają, że ruch liturgiczny nie jest rozwiązaniem palących zagadnień współczesnych, bo ucieczką jest od rzeczywistości: Laetatus sum in his quae dicta sunt mihi: in domum Domini ibimus. A tam, w tym domu Bożym, w skupieniu, w które wprowadza nas poważny, uroczysty śpiew gregorjański, w zachwycie, którym porywają psalmy nieszporne, nie na ziemi czujemy się, lecz nad ziemią. Ale ucieczka taka jest konieczną. In Monte Sancto, na górze świętej, ponad zgiełkiem świata i wyziewami nizin, rzeźwi i wzmacnia świeże tchnienie gór. Dusza, ogłuszona wrzawą ścierających się namiętności w walce narodów, klas i interesów, hasłami burzliwych wieców partyjnych, odzyskuje spokój, moc i świadomość swej mocy. Tam uczy się patrzeć oczami Boga na świat i na życie" **), tam wyzwala się z niedecyzji, z chwiejności, cechującej nas, ludzi z tego świata, ludzi nowoczesnych, miotanych, jak okręty na morzu, wichrem sprzecznych prądów. Tam utwierdzamy się w katolickim poglądzie na świat i na życie, że znaczenie i sens życia leży w apostolstwie, że iść powinniśmy w świat, zdobywać świat, przeobrażać go i uświęcać ***). Im głębiej rozu-

---

*) Por. H. Platz: „Zeitgeist und Liturgie".

**) H. Platz: „Zeitgeist und Liturgie".

***) Por. H. Platz: „Das Religiose", s. 184.

mieć będziemy, że liturgja — powiedział opat Herwegen — jest podstawą chrześcijańskiej sztuki życia, tem skuteczniejszą będzie praca nasza nad uzdrowieniem kultury nowoczesnej.

Czy uzdrowimy ją? Czytamy w Ewangelji, że przyjdą czasy, „gdy ludzie schnąć będą od strachu i oczekiwania tych rzeczy, które będą przychodzić na wszystek świat“ (Luc. XXI). Czasy te już przyszły tam, o miedzę od nas — i do nas idą. Winni temu są ci, co przeszkodzić mogli, a nie przeszkodzili: myśliciele i pisarze, jak R. Rolland, którzy podłym frazesem, iż ze zła rodzi się dobro i szczęście, zagłuszyli w sobie sumienie i nie słyszą jęku swych bliźnich, torturowanych i mordowanych tam, w Rosji; winni są publicyści, którzy z ulicy biorą hasła i zapomocą prasy urabiają opinję; winni ci, których oślepia chciwość i w interesy z djabłem wchodzą; a najwinniejsze są rządy, które, kłaniając się i zabiegając o łaskę opętańców moskiewskich, tem samem wyrok śmierci sobie samym piszą.

Czy da się odrobić to, co dopuściła bezmyślna niedbałość, czy da się odeprzeć najście potęg ciemności? Nie wiem, ale to pewne, że ciężkie próby mamy przed sobą. Może niejednego z nas czeka męczeństwo. Niechże gotowi będą ci, co są i co chcą być hufcem Chrystusowym — Gens sancta!

Prof. Dr. Marjan Zdziechowski.

Artykuł powyższy jest powtórzeniem i rozwinięciem myśli autora, wygłoszonych w jego referacie p. t. „Eucharystja a duch apostolstwa“ na kongresie eucharystycznym w Wilnie 8 maja b. r.

Może w dzisiejszych, aż do przesytu zmaterjalizowanych i „trzeźwych“ stosunkach, treść takiego artykułu osądzona zostanie za nazbyt „metafizyczną“ przez ludzi grubego interesu i grubej polityki. Jakże to mówić o „złych mocach“ ludziom z sześcioprzymiotnikowego parlamentu, czy od genewskiego stołu, czy od biurka dyplomatycznego, czy

wreszcie z takiego lub innego gospodarczego kartelu, wyznających jedno tylko hasło: Handel, handel ponad wszystko!

A jednak, pomijając już nawet całą ową — niewątpliwie słuszną — nadprzyrodzoną stronę zagadnienia bolszewickiego, którą porusza autor, a co z naszej strony uzupełniamy: masońsko-bolszewickiego, jakże nie przyznać racji autorowi, że społeczeństwa i rządy robią istotnie wrażenie, jakgdyby były rażone jakąś niesamowitą a samobójczą ślepotą!

To też żaden naprawdę realny polityk — i właśnie realny polityk! — mający choć odrobinę zdolności patrzenia w przyszłość, nie może żadną miarą godzić się na ten karygodnie krótkowzroczny sposób ustosunkowywania się do sprawy bolszewizmu, jaki uprawiają rządy i ludy cywilizowane i to nawet te, które chełpią się pokonaniem u siebie komunizmu i masonerji. Napiętnowaliśmy już raz w tem piśmie (t. X, art. wstępny), że geszefciarska, zakostniała dyplomacja zachodnia nie dorosła do skutecznej walki z komunizmem — a tem samem i z rosyjskim bolszewizmem — który góruje nad nią jako i d e a.

Z wielkiem też zadowoleniem konstatujemy, że autor tak poważny, jakim jest prof. Zdziechowski, wysuwa identyczną tezę, a tylko jeszcze głębiej i obszerniej ją uzasadnia.

I dlatego, właśnie jako pismo, będące wyrazem nawskroś realnego, jak najbardziej o b j e k t y w n e g o ujmowania zjawisk społeczno-politycznych, nietylko uważa „Nasza Przyszłość“ za wskazane podkreślić specjalnie doniosłość powyższego artykułu, jako ważkiego memento dla igrających z ogniem polityków, prawodawców i handlowców, a zwłaszcza kierowników państw, ale uważa nawet, że takich artykułów pisze się u nas zbyt mało, a jeszcze mniej myśli się na serjo o okrążającem już Europę czerwonem niebezpieczeństwie.

REDAKCJA.

W OBRONIE RODZINY.

Jest rzeczą nie do wiary, jak często w Polsce t. zw. postępowość straszliwie jest zacofana przez swój upór w obronie głupstwa, jak zaciekle lubi trwać przy tem, co się w rzekomym postępie już przeżyło, co stanowi odpadek kultury! Nasi „postępowcy“ nie mogą spać po nocach w obawie, że ktoś może im zarzucić, iż spóźniają się o całą rewolucję, rzucają się więc bohatersko na pierwszą lepszą falę reklamowanego postępu i zachłystują pianą nowoczesności, gorycz jej niedowarzenia wychwalając ponad wszystkie wypróbowane słodycze i zdobycze rzetelnego rozwoju.

Śmieszni „niewolnicy postępu“ usiłują uszczęśliwiać nasze społeczeństwo tem, co gdzieindziej uznane zostało za niebezpieczną truciznę dla życia narodów. Pod etykietą postępu gotowi są zawsze przyjąć z entuzjazmem każde głupstwo świata, gdzieindziej już dawno osądzone, potępione i odrzucone. I jeszcze się obrażają, gdy społeczeństwo, wiedzione zdrowym instynktem samoobrony, odwraca się od ich rzekomo dobroczynnej działalności!

Te uwagi cisną się mimowili na myśl, gdy słyszy się o przygotowanym przez Komisję Kodyfikacyjną projekcie prawa małżeńskiego, wprowadzającego śluby cywilne i rozwody. Projekt ten Komisja Kodyfikacyjna uchwaliła dn. 28 maja 1929 r., a 4-go grudnia odesłała go ministrowi Sprawiedliwości. Dalsze jego sankcjonowanie zostało przerwane wskutek przerwania prac sejmu i nowych wyborów.

Na czem polega ta nowelizacja prawa małżeńskiego? Głównemu referentowi, prof. K. Lutostańskiemu, przyświecała myśl nadania Polsce jednolitego prawa małżeńskiego, t. j. takiego prawa, w którego szablonowych ramach dałyby się pomieścić wymagania wszystkich wyznań.

Znamy z nienajlepszej strony szkołę pozytywizmu prawniczego. W jej cieniu właśnie zrodził się cały ów nie-, nieszczęsny projekt kodyfikacji małżeństwa, który miał mieć charakter uniwersalny, a w rezultacie stał się kamieniem obrazy dla katolików i więcej, bo groźnym zamachem na świętość chrześcijańskiej instytucji małżeństwa.

Twórcy projektu doszli do błędnego wniosku, że może istnieć kompromis między poglądem, uznającym małżeństwo za instytucję religijną a poglądem, widzącym w niem kontrakt świecki. Stąd cały ten potworny iście pomysł „fakultatywnych ślubów cywilnych, z zastrzeżeniem prawa udzielania rozwodu dla sądów cywilnych".

Twórcy takiego dziwolągu, negującego konsekwencje instytucji sakramentu małżeństwa, lekkomyślnie dali się uwieść zdradzieckiej syrenie t. zw. „jednolitości prawodawstwa". Jest kapitalnem głupstwem usiłować stworzyć jedność między sprzecznymi żywiołami światopoglądu religijnego a ideału świeckości.

Nie znaczy to, abyśmy zaprzeczali państwu prawa uparządkowania w pewien rozumny sposób ustawodawstwa małżeńskiego, uporządkowania według potrzeb wyznań. Prawo uporządkowane nie znaczy jednak jednolite. To, co zadawala bezwyznaniowca, jest obelgą dla wierzeń religijnych katolika. Kto więc pragnie nadać kodeks społeczeństwu w swej znakomitej większości katolickiemu, ten nie może zlekceważyć zasad wiary rzymsko-katolickiej, aby tylko dogodzić ateistom.

A jednak stała się rzecz, wprost niepojęta dla każdego nieuprzedzonego umysłu. W pogoni za swodniczą chimerą postępu potargano sakramentalny charakter małżeństwa.

W uzasadnieniu, załączonem do projektu Komisji, czytamy następujące fantastyczne argumenty: „Nowoczesne prawo polskie liczyć się musi z postępem, jaki miał miejsce w państwach zachodnio-europejskich". To też projektodawca prof. Lutostański „korzystał w szerokiej mierze z doświadczenia kodyfikacji zachodnio-europejskich" oraz z wie-

łowiekowego doświadczenia prawa kanonicznego (?!). W konsekwencji projekt ma wysuwać na czoło zasadę trwałości związku małżeńskiego i stara się „połączyć wszystkie dojrzałe w tym względzie wymogi bieżącego polskiego życia społecznego i państwowego“.

Czy może być bardziej zuchwałe szyderstwo z dobrej wiary katolickiego obywatela, niż to zaofiatrowanie mu „ślubów i rozwodów cywilnych“ pod pretekstem korzystanie z wielowiekowego doświadczenia prawa kanonicznego?!

Zaiste, niełatwo zdać sobie sprawę z tego, czy mamy tu do czynienia z ową „docta ignorantia“, którą nawet Melanchton chłostał bezlitośnie, czy też jest to jaskrawy przykład złej woli, która świadomie podkopuje fundamenta katolickiego małżeństwa pod pozorem działania „na rzecz interesu społecznego i państwowego“?

Na to wszystko przyklejono angielski plasterek „postępowości“, wzorowanej na „kodyfikacjach zachodnio-europejskich“ (?).

Takie rzeczy mówi się w momencie, gdy parlament angielski 148 głosami przeciwko 114 odrzuca propozycję rządu labourzystów uznania obłędu jako warunku do uzyskania rozwodu. Przeciwko wnioskowi przemawiał pastor Gordon Lang, który stwierdził: „Ci, którzy rzeczywiście kochają życie rodzinne i pobierając się wiedzą, że czynią to na dobrą i złą dolę, nie potrzebują takiego prawa. Gdyby zaś przeprowadzono podobne prawo, byłby to pierwszy krok ku wprowadzeniu instytucji „małżeństw na próbę“, potępionych zarówno przez moralność, jak i przez zwyczaj“.

W Anglji zresztą już oddawna zwraca się opinja przeciw rozwodom, o czem świadczy statystyka i wystąpienia polemiczne choćby takiego Bernarda Shaw‘a — fabianisty.

Upodobanie do paradoksów nie pozbawiło Shaw‘a trzeźwego i zdrowego poglądu na rzeczy, to też jego „Nowa umowa małżeńska“ jest powrotem do tradycyjnej formy małżeństwa. Właściwie chodzi tu nie o reformę małżeń-

stwa, lecz reformę ludzi, którzy je tworzą. Reforma musi przyjść od wewnątrz, a nie od zewnątrz.

Zresztą stwarzanie nowych form umowy małżeńskiej daje tylko iluzoryczne korzyści — stwierdza Shaw. — Trzebaby bowiem tyle „umów", ile jest indywidualności. A ponieważ każde małżeństwo jest związkiem dwojga istot, więc właściwie nie możnaby spodziewać się ugody. Małżeństwo nie może więc być zawierane według maximum wymagań, lecz według maximum ustępliwości.

Małżeństwo, pomyślane jako związek, oparty na szeregu wzajemnych koncesji i ustępstw, jest próbą charakterów i od ich wyrobienia zależy jego wartość. B. Shaw dochodzi jednak do wniosku, że o prawdziwe charaktery tak samo trudno, jak o brylanty bez skazy. A ponieważ ludzie będą się żenić, więc na wypadek niemożności utrzymania związku małżeńskiego „dajcie im uczciwe rozwody!" — woła anglikański biskup. Raczej należałoby zawołać: „Dajcie nam uczciwe małżeństwa!" — a nie będzie potrzeba rozwodów.

Zapewne, że małżeństwo, jako trwałe współżycie, jest rzeczą, wymagającą wyrobionej woli i szeregu umiejętności, związanych z praktyką życia małżeńskiego. Mówiąc o dobrem, szczęśliwem małżeństwie, nie należy zapominać, że będzie to tylko frazes literacki, jeśli szereg zagadnień z dziedziny moralności, psychologji, fizjologji i ekonomji nie zostanie należycie postawionych i rozstrzygniętych.

A jednak B. Shaw, po zademonstrowaniu nam szeregu zastrzeżeń i wątpliwości, stawia tezę, że małżeństwo jest jedyną formą współżycia dwojga ludzi, przez którą można rozwiązać choćby do pewnego stopnia wszystkie te trudności. Każda inna forma jest oszustwem dla społeczeństwa i samobójstwem moralnem dla jej aktorów.

Również w Niemczech, w związku ze sprawą projektu kodyfikacji małżeństwa, prowadzi się zaciekła walka z jego sakramentalnym charakterem. Rozwinęła się więc ożywiona agitacja i dyskusja na łamach „Germanji". Zabierali

w niej udział wybitni przedstawiciele świata katolickiego Niemiec, świeccy i duchowni. A więc zabrał głos b. kanclerz Rzeszy dr. Marx, który ogłosił artykuł pod znamiennym tytułem: „Ułatwienie rozwodów“; wystąpił tam przeciwko propagatorom rozwodów, słusznie dowodząc, że katolickie ustawodawstwo małżeńskie nie jest wyłącznie pomysłem katolików dla katolików, lecz że pokrywa się ono w sposób najściślejszy z najżywotniejszymi interesami społecznymi. Bo przecież jedność i nierozerwalność małżeństwa płynie nietylko z jego przez katolicyzm utrzymanego sakramentalnego charakteru, ale i z samego prawa natury.

Jedność i nierozerwalność, uświęcona w sakramencie, sprawia — jak powiada św. Tomasz (Contra Gen. III, 122) — że przez naturę wskazane cele mogą być w małżeństwie w unormowany sposób ujęte. To też Leon XIII w encyklice „Quod apostolici“ wyjaśnia, że „istota rodziny spoczywa, zgodnie z niezłomnem prawem natury, przedewszystkiem w nierozerwalnym związku mężczyzny i kobiety“.

W tejże sprawie rozwodów zabierał głos w Germanji również ks. Otto Sebautz T. J., który polemizuje z argumentem, że tylko katolicy obowiązani są przestrzegać nierozerwalności małżeństwa.

Prawo natury — powiada on — obowiązuje wszystkich. Kto nie przestrzega prawa ciężkości, ten naraża się na katastrofę, budując dom. Kto nie przestrzega nakazów higjeny, ten będzie chorować. Dlatego, że nie przestrzega się zasady nierozerwalności małżeństwa, społeczeństwa przeżywają obecnie tak wielki kryzys życia rodzinnego.

Od praw natury niema wyjątków.

Polemizuje się — powiada O. Sebautz — z zasadą katolicką, wysuwając tezę szczęścia osobistego. „Małżeństwo jest dla człowieka, a nie człowiek dla małżeństwa“ — powiadają obrońcy rozwodów. Słusznie! Tylko, o jakim człowieku tu mowa: o jednostce, czy o rodzaju ludzkim? Fizjologja organizmów, pragnienie ojcostwa, miłość macie-

rzyńska, wszystko to wskazuje, że małżeństwo nie ma na celu zaspokojenia jednostki, lecz dobra całej ludzkości. Być może, iż w nierozerwalnem małżeństwie cierpią poszczególne jednostki, lecz w ogólności trwałość małżeństwa jest korzystna dla społeczeństwa. Dobro społeczne przeważa dobro jednostki. I dlatego katolicy powinni domagać się utrzymania nierozerwalności małżeństwa, obowiązującej wszystkich, bez różnicy wyznania.

Jest to jedyna reforma — bez reformy!...

Przyjrzyjmy się bliżej teraz, jak ujmuje kwestję rozłączenia, czyli separacji, oraz rozwodu projekt naszej Komisji. Odnośne postanowienia obejmuje rozdz. VIII w art. 65—91 włącznie. Artykuł 65 omawia powody, w których małżonkowie „za obopólną zgodą“ mogą otrzymać separację, art. 69 wylicza 15 przyczyn głównych i kilka pobocznych, w związku z któremi sąd może orzec separację „na żądanie jednego z małżonków“. Wreszcie art. 88 powiada: „Po upływie trzech lat od uznania małżeństwa za rozłączone, sąd na żądanie jednego z małżonków orzeknie zamianę rozłączenia na rozwód, przez co małżeństwo ustaje (sąd może odmówić rozwodu, jeśli uzna, że dobro małoletnich dzieci stoi na przeszkodzie)“. Jak widzimy, w Polsce — rzecz niesłychana w porównaniu z innymi kodeksami — można otrzymać rozwód dla kilkunastu nieistotnych przyczyn, nie czekając nawet trzech lat, gdyż, jak to przewiduje tenże artykuł 88, „sąd może... skrócić powyższy termin według swego uznania“. Łatwo się domyślić, że przy takim stosunku do rozwodu nie zabraknie postanowienia, że „osoba rozwiedziona może wstąpić w nowy związek małżeński za życia dotychczasowego współmałżonka“ (Art. 89).

Oto, jaką to treść, z gruntu niegodziwą, wtłacza projekt pod płaszcz „doświadczeń prawa kanonicznego“ i usiłuje uzasadnić „dojrzałymi wymogami życia polskiego“!! Czyżby zdaniem projektodawców wymagało ono ostatecznej de-

zorganizacji przez rozbicie życia rodzinnego? Czyż jako podstawę dla zaspokojenia tych wymogów projektodawcy mogli wziąć tendencje, ożywiające znikomą mniejszość społeczeństwa i zlekceważyć to wszystko, co stanowi żywotną treść życia religijnego i moralnego większości? Gdzie wreszce poczyniono te rewelacyjne doświadczenia w dziedzinie obcych kodyfikacji, kiedy właśnie w wielu krajach — jak np. Francja, Stany Zjednoczone — ustawodawstwo rozwodowe przyniosło jak najzgubniejsze skutki społeczne i moralne?

Przecież bezstronne zapoznanie się z temi doświadczeniami, pomijając nawet zasady nauki katolickiej i orzeczenia Kościoła, musi doprowadzić do nieuchronnego przeświadczenia, że r o z w o d y s ą r u i n ą r o d z i n y i s t r a s z l i w ą g r o ź b ą d l a s p o ł e c z e ń s t w a.

Właśnie na gruncie tych doświadczeń postaramy się tu udowodnić całą niewątpliwą szkodliwość prawa rozwodowego, które zbankrutowało wszędzie, a zwłaszcza w klasycznym kraju rozwodów — we Francji.

Smutne doświadczenia, równające się istnej klęsce społecznej, rozpoczęła Francja w dziedzinie stosunków i prawa małżeńskiego od rewolucji 1791 r. Coprawda uprzednio już, od czasów soboru Trydenckiego, wpływ Kościoła w tej dziedzinie był we Francji już ograniczony. W każdym bądź razie uznawano nierozerwalność małżeństwa i udzielano jedynie separacji. Przewrotu dokonała deklaracja praw człowieka i obywatela, która ogłosiła w lit. II art. 7, że „prawo uważa małżeństwo za umowę czysto cywilną". Na tej podstawie zgromadzenie ustawodawcze wydało 20 września 1792 r. ustawę o stanie cywilnym obywatela, wprowadzającą w lit. IV cywilne śluby i rozwody, a dekretem z 25 września tegoż roku ustaliło bliżej przyczyny i sposoby uzyskania rozwodu.

Punktem wyjścia było hasło wolności osobistej, jedno z trzech podstawowych haseł rewolucji, którego realizacji miała rzekomo zagrażać nierozerwalność małżeństwa,

utrzymująca — jak głosi Diderot — „tyranję mężczyzny, który traktuje kobietę jako swą własność". Referent ustawodawstwa rozwodowego, Leonard Robin, dowodził na posiedzeniu 9 września 1792 r., że „wolność osobista nie dopuszcza absolutnego zrzeczenia się jej przez jakąkolwiek umowę".

Wogóle nieskorygowany jeszcze przez życie akademicki doktryneryzm twórców rewolucji napełniał ich optymizmem co do rzekomych dobrodziejstw, płynących z ich poczynań.

Moniteur Universel z entuzjazmem pisał w lutym 1792 r., w związku z zagadnieniem rozwodu: „możemy tylko na nim zyskać pod każdym względem", zaś Aubert Dubayot zapewniał, że „skoro rozwód zostanie dozwolony, będzie zachodził bardzo rzadko". Mimo tego bezkrytycznego stanowiska, nie odważono się jednak zrównać zupełnie umowy małżeńskiej z kontraktem cywilnym. Ostatecznie uchwalona ustawa uznała trzy kategorje przyczyn dla uzyskania rozwodu: pierwsza podawała szereg ściśle określonych powodów, druga uznawała za wystarczającą wzajemną zgodę małżonków na rozwód, trzecia zezwalała na rozwód na podstawie żądania jednej ze stron w razie niezgodności charakterów. Pozatem, ku oburzeniu opinji katolickiej, zniesiono separację, stawiając w ten sposób każde małżeństwo przed koniecznością ostateczną rozwodu.

W ten sposób, jak pisał Er. Glasson w swem dziele „Le mariage civile et divorce" (r. 1880), niepopularne idee filozoficzne i społeczne wzięły górę nad wolą narodu. Rychło też doktrynerscy uszczęśliwiacze ludu spostrzegli się, że owe „niedobrane małżeństwa", które miały stanowić wyjątek i którym potrzeba rozwodów — stały się właściwie regułą, że przy istnieniu rozwodów każde małżeństwo uważać się może „za niedobrane". Zło zamiast zmaleć, zaczęło się strasznie rozrastać.

W samym Paryżu, w przeciągu dwu lat obowiązywania ustawy o rozwodach, trybunały rozwiązały 5994 mał-

żeństw. W ciągu trzech pierwszych miesięcy 1793 roku udzielono tyleż rozwodów, ile zawarto ślubów, a w jednem z lat następnych liczba rozwodów przekroczyła liczbę ślubów. Stosunki, panujące wówczas w społeczeństwie francuskiem, dadzą się chyba porównać tylko z obecnymi stosunkami w Rosji sowieckiej. Kiedy pewien paryżanin, ożeniwszy się i rozwiódłszy kolejno z dwiema siostrami, wniósł podanie do władz o zezwolenie na małżeństwo z ich matką, „śmiano się z niego — powiada Louis Madelin — choć trzeba było płakać!".

Tylko krańcowa ślepota i tępota mogła upierać się przy utrzymaniu rozwodów. To też już w parę lat później przejawiają się liczne, coraz bardziej krytyczne głosy przeciw rozwodom: „Raczej narzędziem gry na giełdzie miłości, a nie prawem, nazwać należy ustawę rozwodową" — wołał deputowany Maile. „Trzeba — mówił na Radzie Pięciuset Filip Delleville — raz wreszcie zaprzestać tego targu ciałem ludzkiem, jaki nadużycia rozwodowe zaprowadziły w społeczeństwie". „Chcecie mieć małżeństwa, a czynicie z nich istną prostytucję" — oburzał się Simeon. Do tych haniebnych stosunków dałyby się zastosować słowa Seneki: „Żadna kobieta nie wstydzi się już rozwodu".

Konieczność reformy stała się zrozumiałą w najszerszej opinji. Zajęła się nią Komisja Kodyfikacyjna, wyłoniona przez Napoleona. Niektórzy jej członkowie byli przeciwni rozwodom. Carion-Nisias nazwał rozwód wprost „złym w swej istocie". Również zaciętym przeciwnikiem rozwodów był Portalis, jeden z twórców słynnego Kodeksu Cywilnego. Kodyfikatorzy byli zdania, że należy zatrzymać śluby cywilne, znieść rozwody i przywrócić separację, zwłaszcza ze względu na żądania katolików. Ostatecznie jednak zatrzymano rozwód, niewątpliwie pod naciskiem Napoleona, który ze względu na dynastyczne interesy, wobec bezdzietności swego małżeństwa z Józefiną, chciał zostawić sobie furtkę wyjścia.

Zresztą i sam Napoleon, choć dla względów osobistych

utrzymał rozwody, zdawał sobie sprawę z groźby, jaką one przedstawiają dla społeczeństwa, życia rodzinnego i wychowania młodzieży.

Pewnego razu prowadził Napoleon rozmowę na ten temat z jedną z dam dworu.

— Dawne systemy wychowawcze żadnej nie przedstawiają wartości! Czego brakuje nam, aby młodzież Francji mogła otrzymać dobre wychowanie? — mówił cesarz.

— Brakuje nam matek! — rzekła dama.

— Oto cały system wychowania, zawarty w jednem słowie: „matka".

W rezultacie nowy Kodeks Cywilny obostrzył tylko warunki otrzymania rozwodu, uznając je jako „remède d'un mal". Zachowano jednak postanowienie, że zgoda wzajemna stron wystarczy dla rozwodu. Oczywiście pole do nadużyć stanęło otworem. W końcu, za czasów Restauracji, na wniosek de Bonald'a dnia 8 maja 1816 r. zniesiono całkowicie rozwód, a będące w toku procesy o rozwód zamieniono na procesy separacyjne.

W ten sposób, po blisko ćwierćwieczu smutnych doświadczeń, z rzekomego dobrodziejstwa prawa rozwodowego Francja zdecydowała się zrezygnować. Społeczeństwo przyjęło z zadowoleniem nowe zarządzenie. Tem niemniej zwolennicy rozwodów nie odstąpili od swego.

Propaganda na rzecz ustawodawstwa rozwodowego nie ustała bynajmniej. W r. 1830 występują de Schonei i Odilon Barat z wnioskiem obalenia ustawy z maja 1816 r. Wniosek ten Izba deputowanych uchwaliła, został jednak odrzucony przez senat, dzięki Portalisowi, współpracownikowi kodyfikacji napoleońskiej, który nie zaniechał swego nieprzejednanego stanowiska wobec rozwodów. Rewolucja r. 1848 musiała oczywiście wydobyć na światło dzienne pomysły rozwodowe. Zaznaczył się tu niejaki Cremieux. Drugie cesarstwo położyło na całej sprawie kamień milczenia. Dopiero Trzecia Republika postawiła ją znowu na porządku dziennym.

Wątpliwą zasługę w tej dziedzinie mają Aleksander Dumas (syn) i Alfred Naquet, który, wszedłszy w r. 1876 do Izby z ramienia skrajnej lewicy, rozpoczął natychmiast energiczną kampanję na rzecz rozwodów. Pierwsza próba przywrócenia „pięknego prawa z r. 1792“ nie powiodła się. Wówczas Naquet w r. 1878 wystąpił z propozycją wznowienia postanowień Kodeksu Napoleońskiego. Również bez skutku. Wobec tego Naquet rozpoczął propagandę swego projektu w r. 1881, która objęła cały kraj i zmusiła Izbę do wzięcia go pod obrady.

Dążeniem Naqueta było zupełne zniszczenie instytucji sakramentalnego małżeństwa. W swej broszurze z r. 1869 („Réligion, propriété, famille“) oświadczył, że jest wrogiem tradycyjnego małżeństwa i nazwał je „zamachem na wolność, przyczyną degeneracji rasy“ (?). Oczywiście swe właściwe tendencje do czasu maskował, mówiąc np. w czasie debaty parlamentarnej, że „mamy nawet bardzo poważną nadzieję, iż instytucja rozwodu potrafi przywrócić w rodzinach tę harmonję, jakiej im obecnie brak“. Te poglądy podzielał również i senat. W rezultacie dn. 27 lipca 1884 r. obie izby uchwaliły przywrócenie rozwodu.

Ustawodawstwo rozwodowe zostało również zaprowadzone w szeregu krajów Europy i Ameryki. Szkodliwe rezultaty tego uwidacznia następująca statystyka metodystycznego organu „Le christianisme social“:

Rozwody (na 100.000 mieszkańców)	1913	1926		Przyrost procentowy
Wielka Brytanja i Irlandja	1,6	6,7		319%
Szwecja	13,7	29,4		115%
Niderlandy	18,2	29,8	(1925)	53%
Belgja	12,9	29,9		132%
Francja	37,7	49,1		30%
Niemcy	24,9	54,3		118%
Szwajcarja	41,6	55,9		34%
Węgry	42,6	69,6		63%

Japonja	112,8	82,8	(1925)	minus 30%
Austrja	14,4	84,5	„	615%
Stany Zjednoczone A. P.	111,2	152,1	„	37%
Rosja Europejska	—	164,2	„	—
Ukraina	—	175,2	„	—

Z tej statystyki wynika, że w ilości rozwodów Stany Zjednoczone równać się mogą tylko z bolszewicką Rosją, procentowym zaś stosunkiem ilości rozwodów przewyższają prawie w dwójnasób nawet Austrję, a inne państwa trzy lub pięciokrotnie, Anglję 23 razy. Przez lat 13 na 100.000 mieszkańców przybyło rozwodów w Stanach Zjednoczonych A. P. 41, podczas gdy we Francji 12, a w Anglji 5.

Nadto, ten przyrost procentowy został fałszywie obliczony dla Niderlandów, Niemiec, Japonji i Austrji. Austrji policzono za wiele, Niemcom i Niderlandom natomiast ujęto.

Nowsze dane ogłasza w tej sprawie niemiecki urząd państwowy statystyczny. Pod względem ilości rozwodów na pierwszem miejscu kroczy oczywiście Z. S. S. R. z cyfrą (w roku 1927, późniejszych danych brak) 305,7 rozwodów na 100 tysięcy ludności; dalej Stany Zjednoczone (163,3), Austrja (85,3), Danja (66), Szwajcarja (63,6), Niemcy (61,6), Estonja (50,7) i Francja (45,9). Najmniejszą stosunkowo liczbę rozwodów posiada Anglja (10,2). Największy procent rozwodów przypada na małżeństwa, zawierane bądź w czasie wojny, bądź bezpośrednio po niej lub na małżeństwa ostatniej doby. Jako powód rozwodów w większości wypadków jest niewypełnianie obowiązków małżeńskich, dalej wiarołomstwo, modne natomiast w swoim czasie porzucenie dziś spotyka się rzadziej (z wyjątkiem Anglji, w której pod pretekstem emigracji do kolonji porzucono około 40.000 żon). Z tego względu przygotowuje się nawet odpowiednia ustawa karna. Nadmienić jeszcze należy, że w Niemczech ilość rozwodów, bardzo duża w latach 1920—1922 (50 rozwodów na 10.000 małżeństw wobec 25.5 w roku 1913), w okresie od 1923—1926 zmalała do 26,4, a w ostatnim roku 1929 wzrosła z powrotem do

29 w stosunku na 10 tysięcy małżeństw. Z Polski statystyki brak.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rozwody stały się w Ameryce istną klęską. Do tej pory udzielono ich około miljona. Na każde siedem nowo zawartych małżeństw przypada jeden rozwód. Ciekawe światło na ten kryzys małżeństwa rzuca fakt, że w 2/3 wypadków inicjatywa rozwodów przypada kobiecie; w północnych, przemysłowych Stanach Amerykanka domaga się rozwodu w 71 wypadkach na 100, w południowych, rolniczych — w 51. W siedmiu na osiem wypadków kobieta, żądająca rozwodu, nie wymaga żadnego odszkodowania ze strony męża. Statystyka amerykańska zajęła się również scharakteryzowaniem losu rozwodników. Według kierownika pracowni socjologicznej uniwersytetu Northwestern w Chicago, prof. Artura J. Todd'a, liczba samobójstw wśród małżonków rozwiedzionych jest cztery razy większa, niż wśród małżonków, żyjących zgodnie. Rozwód jest więc zwodniczym środkiem poprawy i zdobycia radości życia. Socjologowie zwracają też uwagę na zgubne skutki rozwodów w dziedzinie wychowania młodzieży. Największa liczba przestępców wśród nieletnich rekrutuje się z dzieci małżeństw rozwiedzionych. W Atlantic City zwołano nawet specjalną konferencję w sprawie walki z przestępczością wśród młodzieży. Miejscowy sędzia dla małoletnich wystąpił z wnioskiem, aby pastorzy nakłaniali rozwiedzionych rodziców do ponownego zejścia się w celu podjęcia obowiązków wychowawczych. Stwierdzono dalej związek liczby rozwodów ze spadkiem urodzin. Również i w Europie daje się zaobserwować związek między rozwodami spadkiem przyrostu naturalnego i wzrostem przestępstw nieletnich. W Czechosłowacji opracowuje się obecnie projekt ustawy o sądach dla nieletnich. W czasie dyskusji na ten temat w parlamencie zabrał głos ks. kanonik Staszek:

„Faktem jest, że w czasie powojennym wzrosła liczba młodocianych przestępców".

Mówca przytacza statystykę zbrodni, popełnionych przez nieletnich w Czechach i na Morawach i stwierdza, że na Morawach było ich mniej o 50%. Dlaczego? Bo tam w szerszych warstwach ludności zachowała się wiara i życie rodzinne według zasad religji, kiedy przeciwnie w Czechach są warunki daleko gorsze, szerzą się apostazje, sekty, agitują „wolnomyśliciele“ i t. d., szczególnie w okręgach przemysłowych.

Jeden ze znawców kryminalistyki — mówi dalej ks. Staszek — zapewnia, że większość występków wśród młodocianych popełniają nieletni, pochodzący z rodzin rozwiedzionych. Brakuje nam niestety i tutaj dat statystycznych, Niedawno pisał pewien inż. Nekas w „Prawie Ludu“ („Pravo Lidu“): „Urząd statystyczny stwierdza, że w samym tylko r. 1929 straciło z powodu rozwodów 8,200 dzieci oboje rodziców, czy też tylko ojca lub matkę. Łatwo się domyśleć, ile z nich w ciągu lat jedenastu, odkąd istnieje ustawa o rozwodach, nie otrzymało prawidłowego wychowania“. Inżynier Nekas proponuje, jako środek zaradczy, utworzenie przez państwo osobnych zakładów dla dzieci rodzin rozwiedzionych. Mówca jednak sądzi, że trzeba koniecznie znieść, albo przynajmniej zmienić nieszczęsną ustawę rozwodową. Faktem jest, że już teraz istnieje w Czechosłowacji ponad 100.000 rodzin rozwiedzionych. Taki plon przyniosło jedno dziesięciolecie!

W Niemczech również szerzy się w zastraszający sposób bandytyzm wśród nieletniej młodzieży. Na fakty te zwrócił ostatnio uwagę proces o zamordowanie zegarmistrza Urlitza przez 16-letnią dziewczynę i dwóch chłopców w wieku lat 13—16.

Stwierdzono przy okazji, że na terenie samego Berlina i okolicy grasuje kilkaset band, których członkami są dzieci.

Są to przeważnie sieroty, albo też dzieci, pozbawione zupełnie opieki rodzicielskiej.

Z pobieżnych obliczeń wynika, że na terenie całych Niemiec należy do zorganizowanych związków zbrodniczych około 14.000 przedstawicieli najmłodszej generacji. Pod względem wieku podział przedstawia się w sposób następujący: trzecią część stanowią dzieci w wieku od lat 14-tu do 16-tu, resztę zaś dzieci od lat 16-tu do 18-tu. W samym Berlinie istnieje podobno około 600 takich band. Takie są skutki socjalne rozbicia rodziny i zniesienia tradycyjnego małżeństwa.

Obecnie firma „małżeństwa" staje się właściwie pokrywką prostytucji. W szerokich kołach społecznych, w opinji ogółu, w poglądach literackich rozwód jest dziś sprawą form konwencjonalnych. Doskonale odmalował to Cecil de Mille w świetnym filmie „Dynamit", który przedstawia dzieje amerykańskich małżeństw, zawieranych pod znakiem interesu, dla chwilowej przyjemności, kaprysu, przelotnej miłostki—małżeństw, gdzie bogate miljonerki kupują sobie „przystojnych mężów" od swych przyjaciółek, handlujących rozwodami.

W kołach tych terminy „żona", „mąż", są zupełnie nieaktualne. Rozmowa towarzyska często się o to potyka: „Kochana żoneczko, mam zaszczyt przedstawić ci swą narzeczoną, p. X. — rozwódkę" — lub odwrotnie — to typowe sytuacje. Grubą niezręcznością jest pytać o zdrowie żony, gdyż nigdy niewiadomo, czy to jeszcze ta sama żona, czy inna. . .

A przecież, ile razy w historji narodów następował upadek życia moralnego rodzinnego, ile razy otwierały się furty rozwodu, tyle razy rozpoczynał się upadek polityczny wymierającego ludu. Tak było z Babilonją na 2000 lat przed Chr. Toć przecież Kodeks Hammurabiego regulował dokładnie w art. 133—143 oraz 149 sprawy rozwodowe, ale nie powstrzymał fali rozkładu życia społecznego!

Tak samo działo się w Egipcie. Szczególnie pod panowaniem 19 dynastji. Podobny stan rzeczy miały Indje, Chiny, Grecja i Rzym.

Aż do roku 233 przed Chrystusem Rzym nie uznawał rozwodów. Później Rzym pobił pod tym względem wszystkie rekordy. Biadał nad tem napróżno Seneka.

Św. Hieronim opowiada o kobiecie, którą pochował mąż, 23-ci z rzędu, który ze swej strony miał uprzednio 21 żon.

Nie zapominajmy, że upadek Arabów w IX wieku, Mayasów na Yukatanie, Azteków w Meksyku, rozpoczął się w epoce niesłychanych wprost orgji w udzielaniu rozwodów. Historja ukazuje nam tu szczerą prawdę.

Najdalej w kierunku walki z tradycyjnem małżeństwem poszła Rosja sowiecka. Małżeństwo i rozwód przeprowadza się tam w formie rejestracji, bez żadnych formalności. Związki małżeńskie pozbawione są wszelkich cech trwałości. Jest to celowe. Ustawodawstwo bolszewickie troszczy się głównie o to, aby usunąć dzieci z pod wpływu rodziców. Chodzi mu zwłaszcza, by rodzice nie mogli przeszkadzać wychowaniu młodego pokolenia wedle ideologji komunistycznej. Dlatego stara się usilnie podkopać autorytet rodzicielski. Rodzicom nie wolno dzieci zmuszać do posłuszeństwa, ani nakładać na nie jakiejkolwiek kary celem poprawy. Rodzice są obowiązani dawać utrzymanie swemu potomstwu do lat 18, o ile jest ono ubogie i niezdolne do pracy. W praktyce jednak obowiązek ten częstokroć przedstawia się niewykonalnie, ponieważ niejeden mężczyzna z rozlicznych, często zmieniających się związków może mieć wiele dzieci i nie jest później w stanie zapewnić im utrzymania. Charakterystycznie brzmią słowa niejakiego Fomina, który oświadczył przed paru laty cynicznie w „Krasnoje Prikamie“: „Jestem człowiekiem, jak wielu innych, uległym siłom natury. Miałem dzięki temu 118 żon z wolnych związków, a obecnie 119 małżeństwo jest zarejestrowane. Cóżby się stało, gdyby tych 118 żon chciało dochodzić praw swych do mojej osoby i przyprowadziło ze sobą swoje dzieci?“. Skutki powyższych stosunków dobrze są

znane, a uwidaczniają się w postaci dziesiątek tysięcy opuszczonych, wygłodzonych i nawpół zdziczałych dzieci, wychowujących się na ulicy na żebraków, bandytów i zbrodniarzy.

Opisana wyżej, swego rodzaju poligamja ułatwiona jest niezmiernie przez tę okoliczność, że prawo nie bierze w obronę porzuconych kobiet.

Ostatnio komisarz Łunaczarskij zapowiedział stworzenie wzorowego miasta komunistycznego: Minotorgorsk, w którem wogóle nie będzie żadnych małżeństw. Życie seksualne będzie przypominać życie dawnej hordy. Dzieci będą odbierane matkom zaraz po okresie wykarmienia i wychowywane wspólnie.

Rosja sowiecka schodzi na tę równię pochyłą, po której już oddawna stacza się Europa.

Od początku XX wieku daje się zauważyć w Europie, w związku z upadkiem tradycyjnego małżeństwa, stale powiększający się spadek liczby urodzin: we Francji osiągnął on aż 84 proc., w Niemczech 52 proc., w Anglji 42 proc., w państwach skandynawskich — 40 proc. We Włoszech było np. w r. ub. o 100.000 urodzin mniej, niż w r. 1928, a we Francji o 26.776. Coprawda, jednocześnie spada liczba zgonów w Niemczech o 400.000, we Francji o 200.000, we Włoszech o 130.000, w Anglji o 120.000. Jeżeli jednak tak dalej pójdzie, to za lat 15 w niektórych europejskich krajach liczba starców powyżej 65 lat będzie przewyższać liczbę młodzieży w wieku poborowym. Słowem, jesteśmy na progu zahamowania się rozwoju populacyjnego Europy. A cóż będzie znaczyć największe bogactwo i najbardziej wyrafinowana kultura, gdy coraz mniej będzie tych, którzy będą mogli z niej korzystać?

Niektóre kraje europejskie, a zwłaszcza Francja i Niemcy, weszły już właściwie na drogę powolnego depopulowania się. W Berlinie na każde sześć małżeństw przypada 1 rozwód, a nowych związków jest coraz mniej.

Według ostatnich danych statystycznych niezamężnych kobiet w wieku od lat 18-tu do 35-iu jest o 40 proc. więcej, niż nieżonatych mężczyzn w tym samym wieku. Szczupłe zarobki pracujących zawodowo kobiet, złe warunki mieszkaniowe i niedostateczne odżywianie się powodują również znaczny wzrost śmiertelności, która dla kobiet między 29 a 39 rokiem życia jest w Niemczech o 50 proc. większa, niż śmiertelność mężczyzn w tymże wieku. Jednocześnie daje się zauważyć zastraszający wzrost liczby urodzeń nieślubnych, sztucznych poronień i morderstw niemowląt, co jest niewątpliwie skutkiem spadku liczby małżeństw i zwiększonych dla kobiet trudności założenia ogniska domowego.

Dane statystyczne, tyczące się ruchu ludności we Francji w 1929 r., zawierają ciekawe szczegóły.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy przerażające zmniejszenie się różnicy między liczbą urodzin a liczbą zgonów. Gdy jeszcze w 1928 r. różnica ta wynosiła 70.205, to w 1929 r. spadła już do 12.564!

W 1928 r. liczba zgonów wynosiła 675.110, a w 1929 r. 741.104. Ogromne to zmniejszenie się różnicy pomiędzy liczbą urodzin a liczbą zgonów należy przypisać niezwykłemu wzrostowi śmiertelności wśród dzieci, liczących powyżej roku życia i wogóle spadku urodzeń.

Jednocześnie daje się zauważyć znaczne zmniejszenie się liczby małżeństw, których w 1928 r. zawarto 391.014, a w roku 1929 tylko 333.441. Natomiast wzrosła liczba płacących podatek kawalerski z 200.000 do 280.000.

Liczba urodzeń zmalała w tym czasie z 745.315 do 728.540.

Statystyka ta powinna być chyba odstraszającą, tymczasem czytamy w „Kurjerze Warszawskim":

„Nie dziw, że wobec tego Francja potrzebuje gwałtownie napływu emigrantów, których znaczna część zadomowi się niewątpliwie w tym pięknym kraju i bogatym, który

jednak być może właśnie, obok znanej pracowitości i oszczędności swych mieszkańców, zawdzięcza swe bogactwo temu, że ludność jego nie wzrasta, trzymając się granic, poza któremi rozpoczyna się plaga bezroboczych".

Komentarz, ujęty w to jedno niezręczne zdanie, zawiera jaskrawą sprzeczność. Najpierw autor wyraża pogląd, że spadek ludności sprowadza emigrację obcych elementów do Francji, aby można było utrzymać wysokie tempo życia gospodarczego, następnie wyraża myśl, że właśnie zahamowanie przyrostu naturalnego sprzyja dobrobytowi. Słowem wynika stąd, że to samo zjawisko ma być jednocześnie dodatnie i ujemne w swych skutkach. Nonsens!

Straszliwe skutki plagi rozwodów i wogóle upadku rodziny, nie mówiąc już o radykalnych eksperymentach bolszewickiego doktrynerstwa, wielu otworzyły oczy. Widzimy to przedewszystkiem we Francji, która nie wykazuje możę takiego wzrostu procentowego rozwodów, jak powiedzmy Bolszewja lub Stany Zjednoczone, jednak w cyfrach globalnych bardzo wysokie cyfry.

Francja, wprowadzona na bezdroża świeckiej ideologji, wykazuje wzrost liczby rozwiedzionych małżeństw przy jednoczesnym spadku urodzin. A przecież już J. Jaque Rousseau powiedział: „Rząd, pod którym liczba urodzeń i wzrost ludności są w dobrym stanie, bez uciekania się do nadzwyczajnych środków, jak naturalizacja i bonifikacja. jest bezwątpienia rządem najlepszym; rząd, pod którym liczba ludności spada, a naród demoralizuje się, jest napewno najgorszym".

Rządy Trzeciej Republiki okazały się fatalne dla społeczeństwa francuskiego. To też dziś, jak powiadamy, obserwuje się powszechny zwrot przeciw ustawodawstwu rozwodowemu. Wystarczy wspomnieć, że w nowym podręczniku (r. 1927) prawa cywilnego, wydanym przez dwóch profesorów Sorbony, znajdujemy krytyczne i wprost nieprzychylne omówienie ustawy rozwodowej. Rozwody

uznane są przez obu autorów za prawdziwe zło społeczne, któremu należy jak najrychlej położyć tamę. Okazuje się więc, że wystarczyło niecałe lat pięćdziesiąt na to, by nawet pozytywistyczna nauka prawnicza wypowiedziała wojnę rozwodom.

Podobnie ujmuje się sprawę i w innych krajach. Faszystowskie Włochy podjęły już oddawna energiczną akcję na rzecz obrony rodziny, która jest fundamentem potęgi państwa — jak powiada Mussolini — a katolicka nauka poręczycielem jego trwałości.

W senacie rzymskim, w czasie niedawnej dyskusji nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych, wygłosił przemówienie senator Cavazzoni. Przemówienie to jest ciekawe ze względu na poruszony w niem temat moralności publicznej. Obrona rodziny i macierzyństwa jest obroną narodową, więcej nawet: jest obroną całej ludzkości i cywilizacji. Nie przez rozwody i ograniczenia liczby rodzin, lecz przeciwnie, przez propagandę nienaruszalności małżeństwa; przez popieranie przyrostu naturalnego, stwarza się naród fizycznie i moralnie zdrowy i silny. Pius XI we wspaniałej swej Encyklice „Casti connubii" okazał się naprawdę Dobrym Pasterzem. Należy kroczyć wskazaną przez niego drogą, gdyż jest to droga dobra. Fizyczna bowiem ochrona rasy nie może być oddzielona od moralnej ochrony.

Cóż to jest bowiem małżeństwo według Encykliki „Casti connubii": „Małżeństwo jest to łączność dusz, ściślejsza znacznie od łączności ciał". „Małżeństwo nie opiera się wcale na pociągu zmysłowym lub samej skłonności serc. Nie! Jest ono rozważną i mocną obopólną decyzją woli w sprawie współżycia. I ten właśnie stosunek duchowy rodzi na mocy postanowienia Bożego węzeł nierozerwalny i święty. Małżeństwo, to wspólne życie, to trwała, wzajemna przyjaźń, to grupa społeczna!". Słowem, małżeństwo — to podstawowa komórka społeczna, bez której zabezpieczenia społeczeństwa skazane są na zagładę. Rozumieją to nawet niekatolicy.

W jednym z ostatnich numerów paryskiego pisma „L'Europe Nouvelle“ Ch. Loiseau umieścił artykuł, omawiający i komentujący ostatnią encyklikę papieską. Artykuł ten tembardziej jest znamienny, że wspomniane pismo wydawane jest przez sfery żydowskie i czytywane jest przedewszystkiem w kołach niekatolickich. „Encyklika — pisze p. Loiseau — przedstawia nietylko doktrynę, ale i filozofję katolicką i jednocześnie jest przyczynkiem do filozofji ogólnej. Nie można było dać lepiej sformułowanej idei związku monogamicznego“.

Tak więc, gdy na całym świecie obserwujemy zniechęcenie do rozwodów, zrozumienie straszliwej groźby dla społeczeństwa, płynącej z rozbicia rodziny, u nas właśnie Komisja Kodyfikacyjna ma zamiar uszczęśliwić Polskę — ustawą rozwodową!

Cóż to za zespół postanowił obdarzyć katolickie społeczeństwo takim darem Danaów? Do podkomisji przygotowawczej, oprócz głównego referenta, prof. Karola Lutostańskiego, weszli prezes Prokuratorji Generalnej — Stanisław Bukowiecki, adwokat prof. Henryk Konic, adwokat Zygmunt Nagórski oraz profesor Ignacy Koszembahr-Łyskowski, jako przewodniczący. Delegatem Min. Sprawiedliwości był adwokat Kazimierz Głębocki. Pozatem zapraszano różnych opinjodawców, jak prof. Gołąbka i in.

W zespole podkomisji dla spraw małżeńskich znajdujemy więc ludzi najrozmaitszych kierunków ideowych, związanych z różnymi obozami myśli politycznej. A jednak dali się podporządkować antychrześcijańskim tendencjom projektu prof. K. Lutostańskiego, który, wprowadzając podstępnie cywilne śluby i rozwody, niewątpliwie godzi w moralne fundamenty Rzplitej. Żaden z tych panów, wobec tak rewolucyjnego nastawienia projektodawcy, wobec jego zgubnych dla zdrowia moralnego społeczeństwa tendencji, nie zdobył się na głos protestu, na votum separatum, a w każdym razie nie podał tego protestu do publicznej

wiadomości. Wszystko odbyło się gładko i cichaczem. Komisja — mimo może wewnętrznych tarć — działa na zewnątrz jak idealnie zgrany zespół, który jest przekonany o swej dobroczynnej dla społeczeństwa misji!

Owszem, jeden z członków Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Uniw. Jagiell., St. Gołąb, który zbliżony jest przecież do sfer katolickich, wygłosił na zaproszenie Naukowego Instytutu Katolickiego w Krakowie w dn. 26 lutego i 12 marca dwa odczyty na temat nowego projektu, gdzie oświadczył — jak pisze „Czas" z dn. 14 marca — że „chociaż kwestja rozdziału Kościoła od państwa jest dziś wszędzie nieaktualną i nie na czasie, to jednak w projekcie widziećby pragnął formę ślubu fakultatywną — na wzór kodeksu szwedzkiego".

W dyskusji wykazano niemożliwość utrzymania tej fakultatywnej formy ślubu nietylko w stosunku do katolicyzmu. Prof. Uniw. Jagiell. Wolter zauważył, że z chwilą, kiedy państwo oddaje w ręce Kościoła prawo zawierania ważnych państwowo ślubów w obecności duchownego, równocześnie musi kwestję rozwodu dostosować do prawa kanonicznego. P. Wiewiórkowski przytoczył przykłady ignorancji prawa małżeńskiego wśród polskiego społeczeństwa. O. Podoleński T. J. podkreślił zasadę, stosowaną w prawodawstwie austrjackiem, która mówi, że wyrokować o rozwodzie może tylko ta władza, która ślubu udziela, gdy według polskiego projektu katolickiego małżeństwo ma rozwiązywać sąd cywilny. Dr. Vetulani żąda unieważnienia przechhodzenia na inne wyznanie w celu uzyskania rozwodu. Ks. prof. U. J., Michalski, stwierdza, że wszystkie błędy nowego projektu wypłynęły z niewolniczego zastosowania jako wzoru kodeksu szwedzkiego, który jest najzupełniej sprzeczny z duchem polskiego społeczeństwa. Ks. J. Urban T. J. występuje przeciwko całemu projektowi, wskazując, że przez śluby i rozwody cywilne postawi on Polskę wobec groźby rozstroju życia rodzinnego i moralnego. Stwierdza, że Włochy nie uznały możliwości roz-

wodu dla żadnego wyznania, rozciągając w ten sposób katolicką zasadę na wszystkich obywateli. Uważa, że w tej sprawie nie można się wahać. Projekt zasługuje na potępienie i odrzucenie w całości.

Taki jest i nasz stosunek do tego kompromitującego projektu rozwodów. Niema dla takiej ustawy miejsca w katolickiem państwie!

J. Czarnecki.

KIEDY NASTĄPIŁ PRZEŁOM?

Nikt nie może zaprzeczyć i nikt też nie zaprzecza, że po wojnie światowej nastały odmienne warunki życia i odmienne sposoby myślenia od przedwojennych.

Coś się kiedyś, w czasie zapasów światowych, wśród ognia i rzezi i ówczesnych istnych wędrówek ludów zbrojnych i cywilnych z miejsca na miejsce, załamało — i świat inne przybrał oblicze, na każdem polu i w każdym kierunku. Z dawnego świata pozostały tylko reminiscencje, coraz bardziej mgliste, w umysłach dziś już starszych ludzi, a gdzieniegdzie także jeszcze stare budynki, chociaż i te zmieniły częstokroć swą fasadę i przeznaczenie. Pozatem zmieniło się wszystko do gruntu, o ile wprost nie przewróciło się do góry nogami: ustroje państw, nastroje i dążności społeczeństw, stosunki międzynarodowe i handlowe, warunki produkcji i pracy, prawo i ekonomja i tyle, tyle innych dziedzin! Zmieniły się niezaprzeczenie także i pojęcia etyczne, a raczej — ściśle biorąc — nieetyczne pojęcia i praktyki rozszerzyły się ogromnie na świecie, przeszły niemal w krew i kość społeczeństwa, w polityce i w życiu gospodarczem i towarzyskiem. Stały się niemal regułą, z której dzisiaj już tylko pewne szczytne usiłujemy tu i owdzie cytować wyjątki.

Ale, gdy się tak powszechnie prawi o tym wojennym czy powojennym przełomie, warto może zbadać i dociec jego pierwszych początków. Czy to możliwe? Czy da się uchwycić jakiś moment, choćby tylko na ziemiach polskich, w którym „dawne dobre czasy i pojęcia“ zaczęły się przełamywać?

Problem zdawałby się trudnym na pierwszy rzut oka, gdyż pierwsza z brzegu odpowiedź brzmiałaby, że stosunki

powojenne, zwłaszcza pod względem moralnym, nie są wytworem jakiegoś momentu, ale wyrobiły się z pewnością stopniowo. A jednak niżej podpisany, a raczej niepodpisany, miał tę wyjątkowo szczęśliwą — przepraszam: nieszczęśliwą — okazję być świadkiem tego stosunkowo krótkiego momentu przełomu, w którym świat stary runął, a młody się narodził. A moment ten przypadł właśnie na przełomie 1914 roku na 1915 tak, że data noworoczna 1915 odgranicza z dość dokładną ścisłością okresy starego i nowego porządku.

Nasza krakowska dywizja zajmowała w grudniu 1914 roku stanowiska nad Nidą, pamiętną sławnymi bojami, w których odznaczyli się szczególnie legjoniści. Była to chwila największej ekspansji rosyjskiej na wschód, skoro Kraków był już niemal całkowicie przez Moskali okrążony, a oddziały kawalerji rosyjskiej docierały niemal do granicy śląskiej. Niemcy górnośląscy drżeli już przed inwazją „kozaków".

Wówczas komenda austrjacka uczyniła ostatni wysiłek i, skoncentrowawszy znaczniejsze siły koło Limanowej, zatamowała pochód Rosjan i odrzuciła ich nawet za Dunajec. Wkrótce potem nadszedł rozkaz do naszej dywizji, przenoszący ją niespodziewanie na południe — przez Kraków w okolice Nowego Sącza. Były to pierwsze przygotowania do słynnego uderzenia na Gorlice, które nastąpiło w kilka miesięcy potem, rozstrzygając o losach Europy, a przedewszystkiem Polski.

Zdążając z mym oddziałem spiesznymi marszami na południe, znalazłem się 30-go grudnia w Krakowie, zamienionym w fortecę, najeżoną łanami drutów kolczastych tam, gdzie do niedawna rozciągały się inne łany. Po pięciomiesięcznej wędrówce z armją gen. Dankla, po zwycięstwach jej i klęskach, po licznych marszach naprzód i równie licznych odwrotach, zamieniony już formalnie, jak mi się zdawało, w „zawodowego żołnierza", znalazłem się

nagle w rodzinnem mieście, na rynku, potem na Sławkowskiej i stanąłem kwaterą na dwa dni w Grand Hotelu.

Miasto, jakby wymarłe i hotel jak wymarły. Zdaje mi się, że byłem wówczas jedynym jego gościem. Na ulicach pustka i cisza niesamowita. Ledwie gdzieniegdzie przesuwa się spiesznym krokiem żołnierz. Moskale niedawno odstąpili od oblężenia, ale nastrój oblężniczy jeszcze nie ustąpił.

I nagle spotykam znajomego — cywila, którego jakimś cudem jeszcze pod broń nie powołano. Oczywiście wylewne powitanie, potem wspólna wyprawa do pustej kawiarni, no i wzajemna wymiana wrażeń, w krótkich, krzyżujących się, nieco nerwowych zdaniach, jak to bywa zwykle po dłuższej rozłące.

Nie ruszył się z Krakowa od wybuchu wojny. Przebył więc wszystkie „trwogi oblężenia": ewakuację, aprowizację (może poraz pierwszy zjawiło się wówczas to słowo w potocznej polskiej mowie), huk armat, paniczny szturm do ostatnich pociągów, odchodzących na zachód, grozę krzyżujących się wciąż wieści i plotek.

No, a cóż słychać w mieście?

I o tem wysypuje przedemną cały wór nowin i faktów, ale tak dziwnych, tak nieprawdopodobnie brzmiących, tak jakoś „dzikich" na starym, poczciwym gruncie krakowskim, że w głowie się mąci, a uszy nie wierzą!

Jakto? Ten to popełnił, tamten na to „się puścił", a ta znowu..., a tamta także? i tamta?... Sodoma i Gomora!

— Przytaczam fakta!

— Ale jak to możliwe? Co się to nagle stało?!

— Stała się, mój drogi, rzecz bardzo prosta. Oto razem z ewakuacją znacznej części ludności z fortecy wyewakuowała także i... opinja publiczna! Ci, którzy pozostali, poczuli się z niej nagle uwolnieni i wówczas z niejednego człowieka, porządnego w normalnych warunkach, wylazło — zwierzę!

W lot zrozumiałem. Zbędne były wszelkie komentarze. Zrozumiałem, jak dalece przeciętny „porządny człowiek“ jest bezpośrednim, chwilowym produktem tych wszystkich cywilizacyjnych hamulców, tej codziennej opinji publicznej, które go — w warunkach normalnego ładu i porządku — w karbach trzymają. A gdy ich nagle zabraknie wskutek jakichś nadzwyczajnych okoliczności, to wówczas...

Zrozumiałem także, choć może jeszcze nie w całej pełni, że rozpoczęła się nowa epoka pojęć i stosunków, w której na wszystko — na wszystko — trzeba się przygotować!

Testis.

DYKTATURA PRODUKCJI.

Niechże nam nikt, czytając ten artykuł, nie zarzuci w powierzchownym porywie, że jesteśmy wrogami doskonalenia się i rozwoju produkcji przemysłowej czy rolnej, albo zwolennikami polityki „konsumenckiej“. Bo nietylko dalecy jesteśmy od takich złych i niemądrych koncepcji, ale wprost przeciwnie, pragnęlibyśmy widzieć jak najświetniejszy rozwój gospodarczy państwa na każdem polu, jak najbardziej wzmożoną siłę nabywczą najszerszych mas, jak najwyżej rozwiniętą racjonalizację pracy i kapitalizację zarobków i rozmach handlowy Polski „od bieguna do bieguna“.

Ale niepodobna nam, na razie, chwilowo, wymagać natychmiastowej, bezpośredniej realizacji tych wszystkich pięknych zamiarów za wszelką cenę — to znaczy za cenę sztucznego a upartego podtrzymywania tych haseł kosztem widocznej, postępowej ruiny gospodarstwa krajowego, kosztem bezkrytycznego niszczenia własnemi rękoma naszych własnych majątków, warsztatów pracy i źródeł dochodu, choćby w t. zw. najlepszej intencji! Niepodobna przypatrywać się spokojnie, jak rosną różne wzniosłe hasła i instytucje „popierania wytwórczości krajowej“, a równocześnie wytwórczość ta traci coraz bardziej wszelki realny grunt pod nogami.

Dlatego to swego czasu wystąpiliśmy w tak zdecydowany sposób przeciwko zgubnemu, naszem zdaniem, „radosnemu“ rozmachowi etatyzmu, który głosił apodyktycznie, że na gruzach gospodarstwa prywatnego wykuje w krótkim czasie potęgę gospodarczą Polski przez przedsiębiorstwa państwowe i śrubę podatkową. Dopomogło nam w tym proteście samo życie, które zmusiło etatystycz-

nego nieprzyjaciela stopniowo do cofnięcia się na całej linji i zwinięcia swego „łopocącego sztandaru“.

Teraz już nietyle z etatyzmem mamy do czynienia, choć pozostały po nim jeszcze przykre skutki i ślady, ile z całkiem innem zjawiskiem, wyłonionem z inicjatywy, a raczej zachłanności prywatnej.

Jakoś tak się na świecie poplątały zdemokratyzowane stosunki, że „oświecona“ ludzkość nie znajduje żadnego innego wybrnięcia z nich w różnych dziedzinach, jak — dyktaturę! Mamy więc różnorakie dyktatury w polityce, w stosunkach ubezpieczeń społecznych, w tendencjach stworzenia „raju na ziemi“, a mamy je również i na polu gospodarczem. W każdym kraju inne, tu nadmierny fiskalizm, tam budowane na ruinie gospodarstwa narodowego „szczęście szerokich mas“ (czytaj: mnożenie miljonów bezrobotnych i głodnych!), gdzieindziej bezmyślny rabunek mienia jednych warstw społeczeństwa przez drugie, a jeszcze gdzieindziej nieprzebytą sieć etatystycznych drutów kolczastych w postaci niezliczonych nakazów, zakazów, zezwoleń, kontyngentów i wszelkich innych sposobów ingerencji państwowej, ujawniającej się zbyt często w momentach najmniej odpowiednich. W wielu krajach mamy nadto trusty i syndykaty, których działalność często bardziej dyktatorską bywa od najzachłanniejszych zakusów etatyzmu, choć niby na prywatnej inicjatywie się opiera.

Ale najnowszem zjawiskiem w ekonomice światowej, wyrosłem niedawno na podłożu ogólnego kryzysu i upadku siły nabywczej społeczeństwa, jest dyktatura produkcji, a raczej na szczęście dopiero jej pretensje do dyktatury.

Nie mają te pretensje dyktatorskie najnowszego autoramentu nic wspólnego z różnemi dotychczasowemi praktykami wielkich koncernów gospodarczych, które w różnych krajach i w różnych gałęziach produkcji opanowały rynki i dyktowały ceny. Tym razem wcale nie o to chodzi.

Nowe zjawisko polega bowiem na tem, że przemysł, handel i rolnictwo, w momencie ogólnego wyczerpania się siły kupczej ludności z wiadomych powszechnie powodów wojennych i powojennych, występują z dziwną pretensją podtrzymania, a nawet zwiększenia swego rozmachu, nawiązując do stanu z roku 1913 i „zmuszenia" wszelkimi sposobami konsumentów do niemal obowiązkowego zakupywania i spożywania ich produkcji. O zmniejszeniu tego rozmachu, o zahamowaniu go nieco i rozumnem dostosowaniu do faktycznych możliwości zbytu ani słyszeć nie chcą. Jeżeli dana fabryka lub dana firma handlowa miała przed wojną tylu a tylu pracowników i takie a takie obroty, to dzisiaj — mimo kompletnie zmienionych warunków i wielokrotnie skurczonego rynku — musi mieć à outrance to samo plus jeszcze pewien procent więcej, jaki wynika z teoretycznie a dowolnie obliczonego „podniesienia gospodarczego Polski mocarstwowej"!

Że zbiedzony wojną, inflacją i demagogicznym ustrojem państwa konsument nie jest w stanie nadążyć tym pretensjom swą kieszenią, to pp. producentów i kupców nic a nic nie obchodzi. To jego wina, do tego trzeba go niemal „zmusić". Niech się świat zapadnie, ale rozmach przemysłowo-handlowy, a po części i rolniczy, musi iść dalej niepowstrzymanym pędem, dopingując się w „wyścigu produkcji" coraz dalej postępującą maszynizacją, tayloryzacją i t. zw. racjonalizacją, która obniża chwilowo koszty produkcji, ale wyrzuca na bruk setki tysięcy ludzi, utrzymywanych potem z konieczności przez państwo, a więc przez podatników, wśród których figurują oczywiście także i „racjonalizujące się" przedsiębiorstwa!

Samobójcza ta polityka, będąca jaskrawym dowodem bezkrytyczności i t . zw. „dojutrkowania" wielu, nawet poważnych sfer gospodarczych, podpisuje na nie wyrok śmierci. Ale krótkowzroczna zachłanność z dnia na dzień jest tak dominująca, że zasłania im wzrok przed „rzeczywistą rzeczywistością". Stąd powstają ustawiczne skargi,

lamenty i pretensje do rządu, społeczeństwa i całego świata. Stąd ukuwają się również pseudo-naukowe wyrażenia neoekonomiczne, jak podkonsumcja, niedokonsumcja i t. p., mające na celu wbić ludziom w mózgi, że nie producent za wiele wyrabia i żąda, ale konsument za mało kupuje.

Oczywisty nonsens! Bo każdy konsument kupuje tyle, na ile go stać w danym okresie. Nie istnieje więc żadna podkonsumcja, jak nie istnieje nadkonsumcja, ale poprostu tylko konsumcja, odpowiednia do realnej pojemności rynku i rzeczywistej zdolności nabywczej konsumenta w danym okresie. Prosty więc rozum kupiecki powinien się do tego dostosować, a że gdzieś kiedyś, w dawnych czasach i całkiem innych warunkach, kupowano więcej, bo więcej było pieniędzy, to nie racja jeszcze, aby na tem fundować obecnie swe inkryminacje i pretensje. Zapewne, mógł Wierzynek przyjmować w swej krakowskiej kamienicy królów, usłać im schody purpurą i rozrzucać między tłum „konsumentów" garncami dukaty. Czyż wynika z tego jakikolwiek precedens dla dzisiejszego fabrykanta lub kupca?

Nasi producenci są widocznie jednak zdania, że wynika!

Dla nich widocznie nic to nie znaczy, że powstała jakaś nowa, stosunkowo niewielka (dzięki narodowej demokracji bardzo niewielka) Polska, że znikły olbrzymie rynki wschodnie, że cały świat choruje na nadmiar taniego towaru, wskutek czego eksport jest wielokrotnie zatamowany, że społeczeństwo ogromnie zubożało. Mniejsza o to wszystko, bo dawne reminiscencje i sterczące mury fabryczne — aż nazbyt nieraz okazałe — rodzą wciąż w umysłach producentów pretensje, któremi pragnęliby narzucić społeczeństwu nędzarzy swą dyktaturę, celem zmuszenia go do coraz większego konsumowania amerykanizującej się produkcji. Co więcej, nawet własne, mnożące się w zastraszającym pędzie bankructwa przemysło-

we, handlowe, bankowe i rolnicze, najoczywistszy rezultat nadprodukcji, nie są w stanie dotąd otworzyć im oczu! Sławny ongiś z trzeźwej kalkulacji ołówek kupiecki (zmodernizowany dziś coprawda na „wieczne pióro“) przemienił się na pendzel jakiegoś artysty-fantasty, którym maluje sobie każdy przemysłowiec, kupiec i rolnik różnobarwne obrazy świetnej przyszłości i na podstawie tych obrazów narzuca państwu i światu swe dyktatorskie pretensje. Krok jeszcze dalej w tym kierunku, a pewnego dnia ukaże się ustawa o przymusie zakupywania przez każdego konsumenta takiej ilości towarów, jaką sobie dla swych zarobków każdy producent czy kupiec wymarzy!

Nie, panowie producenci, rzeczywistość nie długo da się naginać do fantazji! Rzeczywistość wykazuje wam codzień, że bankrutujecie coraz bardziej z powodu nadprodukcji waszych towarów i nadprodukcji waszych pretensji. Na nic nie zda się wam wieczne wyglądanie na pomoc rządu, ani na paljatywy kartelowe i kredytowe. Musicie raz spojrzeć po męsku prawdzie w oczy i uznać, że jeżeli społeczeństwo całe zubożało i z absolutną pewnością nie prędko się wzbogaci, to i wasze warsztaty produkcji muszą się — czy chcecie czy nie chcecie — w odpowiednim stopniu zredukować i dezamerykanizować. Chyba, że w samobójczym uporze wolicie wybrać drogę przymusowej likwidacji waszych warsztatów, a z nimi i waszych pretensji!!

Jednym z hamulców wstąpienia na drogę dobrowolnej, planowej redukcji i wraz z nią pewnej „prymitywizacji“ życia gospodarczego jest unosząca się w atmosferze obecnego kryzysu obawa, iż tego lub owego towaru może w Polsce zabraknąć. Ależ o to właśnie chodzi! Wszak niedostatek podaży wywołać może tylko trwalszą opłacalność produkcji. Istota przezwyciężenia ostrego kryzysu w Polsce polega właśnie na doprowadzeniu do tego szczęśliwego punktu, żeby popyt wziął górę nad podażą. A nastąpić to może oczywi-

ście tylko przy odpowiedniej, rozumnej redukcji całego aparatu wytwórczego.

Będą przytem pewne straty. Trudno, żadna sanacja stosunków bez pewnych strat obejść się nie może. Ale co lepsze — czy ponieść jednorazowo pewną stratę i obniżyć swe pretensje „rozwojowe", czy też stale pracować z deficytem i bankrutować całkowicie? Dotąd wykazuje doświadczenie, że producenci wybierają tę drugą drogę: stałego pracowania wśród strat i kolejnego, już niemal „zawodowego" bankrutowania, któremu oprzeć się już nie mogą nawet najpoważniejsze fabryki, firmy, banki i majątki ziemskie.

Wiem, jak to niemiło i niewygodnie jest spojrzeć prawdzie w oczy, ale też daremnem jest „przeciw ościeniowi wierzgać"!

Gospodarcze uzdrowienie stosunków w Polsce wymaga już imperatywnie, pod grozą ogólnego bankructwa, z jednej strony znacznego ulżenia ciężarów publicznych, z drugiej „dezamerykanizacji" i czasowej redukcji wytwórczości na wielu polach. I podatnik i producent, a przez to i konsument (co wszystko razem są właściwie tylko trzy różne oblicza tej samej jednostki) muszą przyjść do oddechu i trochę wypocząć z ustawicznego, samobójczego wyścigu w produkcji i płacenia najróżnorodniejszych, w znacznej części zupełnie absurdalnych świadczeń. Muszą z nadmiernego ciężaru być zwolnione, a w pretensjach twórczych również się ograniczyć. A kto jeszcze się łudzi, ten niech dalej „mocarstwowo" bankrutuje!

„Stańczyk".

PRZECIW SZABLONOWI.

(PROJEKT ZMIANY KONSTYTUCJI W ZARYSIE).

W związku z tem, iż w chwili obecnej na porządek dzienny Sejmu weszła kwestja zmiany konstytucji i to w kierunku nie drobnych poprawek, ale g r u n t o w n e j p r z e b u d o w y c a ł e g o u s t r o j u p a ń s t w o w e g o, obowiązkiem całego społeczeństwa jest wziąć żywy udział w dyskusji nad tą, tak doniosłą dla losów państwa kwestją.

Kwestja reformy konstytucji wiąże się przedewszystkiem z zagadnieniem kryzysu parlamentaryzmu.

Istota tego zagadnienia polega na tem, aby te dwa nieodzowne czynniki w ustroju państwowym, jakimi są: władza ustawodawcza (parlament) i władza wykonawcza (rząd), doprowadzić do harmonijnego współdziałania tak, jak n. p. współdziała w Sądzie Przysięgłych władza sądowa z czynnikiem obywatelskim.

Wyłączne rządy biurokracji bez czynnika obywatelskiego, reprezentowanego w parlamencie, powodują w organiźmie państwowym zwapnienie jego komórek, czyli t. zw. arterjosklerozę, która grozi paraliżem.

Natomiast przerost władzy ustawodawczej ze szkodą dla władzy wykonawczej powoduje chorobę, znaną w medycynie pod nazwą „taniec św. Wita", która w swoich skutkach jest również fatalna dla organizmu państwowego!

Wzajemne zaś harmonijne współdziałanie tych dwóch czynników prowadzi do potężnego postępu, który dał się obserwować w przedwojennej Europie i który właśnie w znacznym stopniu był wynikiem współpracy rządów z parlamentami.

Nadzwyczajne tempo powojennego życia, jak również

nowe, niezmierne skomplikowane zadania, które stanęły przed każdem państwem w okresie powojennym, ujawniły poważne wady w parlamentaryźmie, w jego ogólnie przyjętych formach w Europie.

Jeżeli z wielkiej francuskiej rewolucji wyszła wyzwolona jednostka, to z wielkiej światowej wojny wyszedł wyzwolony naród.

Więc w tym stopniu, w jakim naród jest zjawiskiem więcej skomplikowanem, niż jednostka, są więcej skomplikowane i te zadania, które stoją obecnie przed każdem państwem, w porównaniu z zadaniami z przedwojennego okresu historji.

Szalona zaś szybkość obecnego życia, spowodowana kolosalnym rozwojem techniki powojennej, jest powszechnie wiadoma.

Nic dziwnego, iż parlamentaryzm w tych nowych warunkach zaczął zdradzać poważne defekty w swojem funkcjonowaniu, a zwłaszcza u nas, gdzie bez przyczynowego związku historycznego, został wprowadzony w najjaskrawszych swoich formach, a przedewszystkiem z pięcioprzymiotnikowem prawem wyborczem.

Te wady parlamentaryzmu powojennego dają się sprowadzić do czterech następujących kategorji:

1) Słabość rządu parlamentarnego. Słabość ta wyraża się w braku stałości rządu i niedostateczności jego uprawnień. Stałość i siła rządu są niezmiernie ważne wobec ciągle i szybko się zmieniającej konjunktury w stosunkach tak wewnątrz, jak i na zewnątrz państwa.

2) Rozpanoszenie się partyjnictwa w parlamencie nietylko powoduje zupełną niezdolność do wytwarzania stałej większości parlamentarnej, ale przedewszystkiem pozbawia parlament jego racji bytu. Parlament powinien być z jednej strony zbiorowym pulsem życia, bez którego wyczucia żaden rząd nie może kierować obecnie państwem, a z drugiej — zbiorowem okiem, czu-

wającem nad sprawnością i sumiennością w działalności całego aparatu rządzącego, który tylko w tych warunkach funkcjonuje z pożytkiem dla państwa. Ale gorączka partyjnictwa fałszuje puls życia i prowadzi do całkowitego zaślepienia, co w konsekwencji powoduje ogólny rozstrój i demoralizację.

3) P o w o l n o ś ć m a s z y n y u s t a w o d a w c z e j. Życie, przy swojem obecnem tempie, nie może czekać latami na załatwienie różnych bolączek bez ryzyka, iż te bolączki nie staną się niebezpiecznemi chorobami.

4) N i s k i p o z i o m p a r l a m e n t u. Odpowiednie kwalifikacje intelektualne członków parlamentu — to conditio sine qua non prawidłowego funkcjonowania parlamentu, mającego rozstrzygać niezmiernie skomplikowane zagadnienia życia współczesnego.

Dlatego, aby odpowiednio przebudować ustrój państwa, nie wystarcza skonstatować jego wady i usunąć je, ale trzeba mieć stale na względzie także te zasadnicze zadania, które stoją przed państwem.

Jest to dobrobyt duchowy i materjalny narodu.

Dobrobyt duchowy polega na uświadamianiu sobie przez naród jego misji cywilizacyjnej w ogólnym rozwoju ludzkości i na wytężeniu w tym celu wszystkich sił duchowych.

Tylko taka misja usprawiedliwia samodzielność państwową narodu i jego hegemonję nad innymi narodami, które do takiej roli jeszcze nie dorosły.

Z tego wynika konieczność, aby przedstawicielstwo narodowe, do którego należy kierownictwo losami narodu, skupiało ludzi o najwyższych kwalifikacjach, kwiat duchowy narodu.

Dobrobyt materjalny jest podstawą potęgi państwa; w stosunkach zewnętrznych uwidoczniła to zbyt wyraźnie wojna światowa na przykładzie Ameryki, która, rzucając na szalę sprzymierzonych mocarstw owoce swego gospodarczego rozkwitu, zabezpieczyła im zwycięstwo.

W przyszłej wojnie jeszcze więcej, niż w wojnie ostatniej, decydującym czynnikiem w walce narodów będzie stopień ich ekonomicznego rozwoju.

Więc stopień materjalnego dobrobytu narodu jest obecnie miarą siły i żywotności państwa.

Stąd wynika konieczność, aby przedstawicielstwo narodowe było tak zorganizowane, żeby miało specjalne zrozumienie dla potrzeb gospodarczego rozwoju państwa.

Zagadnienia dobrobytu duchowego i materjalnego są organicznie między sobą związane, lecz ze względu na znaczenie każdego z nich mogą i muszą być traktowane odrębnie, tak samo, jak dwie izby, z których organicznie składa się przedstawicielstwo narodowe, mogą i muszą być skonstruowane odrębnie, a to pod kątem najlepszego załatwienia każdego z powyższych dwóch zagadnień.

Więc pierwsza izba (Sejm) powinna dbać o duchowy dobrobyt narodu, a izba druga (Senat) — o dobrobyt materjalny.

Po uwzględnieniu tych pozytywnych zadań, które stoją przed przedstawicielstwem narodowem, i rozważeniu tych jego wad, które należy z niego usunąć, oraz nie kwestjonując demokratyczno-republikańskiej podstawy konstytucji 17 marca 1921 r. — zasadnicze zmiany, które należy do niej wprowadzić, są następujące:

P r e z y d e n t R z e c z y p o s p o l i t ej, wybierany na dotychczasowych zasadach, otrzymuje: 1) prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustaw we wszystkich przedmiotach, niezwiązanych ze zmianą konstytucji i budżetu i prawo to musi być normalnem uprawnieniem Prezydenta, nieprzywiązanem do czasu rozwiązania parlamentu; 2) prawo veta ustawodawczego i 3) prawo rozwiązywania parlamentu bez ograniczeń, przewidzianych w uzupełniającej konstytucję ustawie z dn. 2 sierpnia 1926 r.

R z ą d przestaje być odpowiedzialny parlamentarnie (system amerykański).

Zmiany w kierunku wzmocnienia i utrwalenia władzy wykonawczej są powszechnie zrozumiałe.

Trzeba nadmienić, iż w nowych warunkach rząd nie byłby pozbawiony prawa przedkładania Sejmowi projektów takich ustaw, które mogą być wydane w drodze rozporządzeń Prezydenta, jak również Sejm zachowałby w całej pełni prawo inicjatywy ustawodawczej, to znaczy, iż mógłby w każdej chwili zmienić lub uchylić wydane przez Prezydenta rozporządzenie.

Możliwy jest również i będzie nader pożyteczny taki tryb postępowania przy wydawaniu ustaw, że Sejm będzie uchwalać dyrektywy lub najogólniejsze zasady, a Prezydent będzie wydawać rozporządzenia z uwzględnieniem ogólnych wskazówek Sejmu.

Ten tryb przyśpieszy nadzwyczajnie funkcjonowanie maszyny ustawodawczej i, zwalniając Sejm od zbędnego balastu, wzmocni jego działalność w kierunku kontroli nad rządem.

S e j m składa się z posłów: 1) wybranych w głosowaniu powszechnem, po jednym z każdego okręgu; 2) wybranych przez duchowieństwo wszystkich, uznanych przez państwo wyznań; 3) wybranych przez wyższe uczelnie i 4) mianowanych przez rząd.

Przy ogólnej liczbie 444 posłów wybiera się: w okręgach — 300, przez duchowieństwo — 22, przez wyższe uczelnie — 22 i mianuje się przez rząd — 100. Rząd nie ma prawa udziału w wyborach.

Okręg wyborczy składa się zasadniczo z jednostki administracyjnej (powiat, miasto) o zaludnieniu minimum 100.000 osób.

Czynne prawo wyborcze przysługuje każdemu, kto ukończył lat 30.

Bierne prawo wyborcze posiada każdy wyborca, o ile posiada wyższe wykształcenie i zamieszkuje w okręgu (lub posiada w nim nieruchomość) od lat 2-ch przed ogłoszeniem wyborów.

Głosowanie w okręgach miejskich jest bezpośrednie, a w okręgach wiejskich dwustopniowe (gmina, powiat), z wyjątkiem Kresów Wschodnich, gdzie jest trzystopniowe (gromada, gmina, powiat).

Posiadanie wyższego wykształcenia daje w okręgach miejskich prawo do 25 głosów, a w wiejskich — prawo bezpośredniego udziału w powiatowem zebraniu wyborców.

Głosowanie odbywa się nie na numer listy kandydatów, ale na nazwisko jednego kandydata.

Wybór pewnej ilości posłów przez duchowieństwo i wyższe uczelnie, którym przysługiwałoby prawo wyboru osób, nienależących do ich składu, ma na celu podniesienie moralnego i intelektualnego poziomu Sejmu i jest konieczny ze względu na wybitny udział tych instytucji w życiu duchowem narodu.

Co do mianowania przez Rząd pewnej ilości posłów, to ten system, w związku z pozbawieniem Rządu prawa udziału w wyborach, ma następujące dodatnie strony.

Udział Rządu w wyborach jest niepożądany ze względu na nieuchronność nadużyć wyborczych, które przyczyniają się do demoralizacji społeczeństwa.

Udział zaś w Sejmie przedstawicieli sfer prorządowych jest wskazany ze względu na potrzebę ściślejszej współpracy Sejmu z Rządem w dziedzinie budżetu i ustawodawstwa.

System mianowania umożliwi Rządowi wprowadzenie do Sejmu wybitniejszych osób, zwalniając go jednocześnie od konieczności popierania przy wyborach ludzi o wątpliwych kwalifikacjach ze względu li tylko na ich właściwości atrakcyjne dla wyborców.

Znaczna zaś przewaga liczebna posłów z wyboru zapewni Sejmowi dostateczną niezawisłość dla urzeczywistnienia kontroli nad Rządem.

System jednomandatowy okręgów, pośredniość wyborów w okręgach wiejskich, cenzus zamieszkania, jak również głosowanie na określonego kandydata, mają na ce-

lu osłabienie demagogji i partyjnictwa i wzmocnienia rzeczowości i głosu rzeczywistego życia w Sejmie.

Podwyższenie cenzusu wieku i nadanie przywilejów dla wyższego wykształcenia mają na celu podniesienie poziomu Sejmu.

Te zmiany bynajmniej nie uchybiają zasadom rzeczywistej demokracji.

Nikt się nie odważy, nie będąc fachowcem, prowadzić pociągu, ale do kierowania państwem uważany jest za uprawnionego i zdolnego każdy analfabeta!

Jest to fałszywy demokratyzm.

Stwarza on przywileje dla proletarjusza przed posiadaczem, dla pracownika fizycznego przed umysłowym, dla analfabety przed wykształconym.

Jest to powrót do byłego stanowego stanu rzeczy z wywróceniem go do góry nogami.

Istotą zaś rzeczywistej demokracji jest to, aby państwem rządziły nie przywileje, powstałe z tytułu pochodzenia lub posiadania, ale kwalifikacje i aby dostęp do tych kwalifikacji był jednakowo możliwy dla wszystkich.

Jest to nietylko istotą rzeczywistej demokracji, ale i rękojmią postępu, który jest potęgowany przez zmobilizowanie zdolności twórczych we wszystkich warstwach narodu.

S e n a t ma narówni z Sejmem prawo inicjatywy ustawodawczej.

Senat składa się z członków, wybranych: 1) przez samorządy w poszczególnych województwach w liczbie 60-ciu (jeden na 500.000 ludności) i 2) przez zrzeszone rolnictwo, przemysł, handel i banki w ogólnej liczbie 51.

Skład Senatu jest dopasowany do jego głównego zadania, którem jest dobrobyt materjalny narodu.

Udział w Senacie przedstawicieli samorządu wytwarza współdziałanie 2-ch przedstawicielstw narodu: ogólnopaństwowego i miejscowego, co musi jednakowo dodatnio

odbić się na działalności zarówno jednego, jak i drugiego, obecnie pozbawionych wszelkiej łączności.

Senat, mając odpowiedni skład i inicjatywę ustawodawczą, będzie pracować nad uzdrowieniem naszego życia gospodarczego, a jego projekty będą musiały znaleźć ideologiczną aprobatę ze strony Sejmu, zaś projekty tego ostatniego będą musiały przejść przez filtr doświadczenia gospodarczego Senatu.

Sądy mają prawo i obowiązek badania, przy rozstrzyganiu poszczególnych spraw, ważności ustaw (system amerykański).

Wobec zwiększenia władzy Prezydenta Rzeczypospolitej, przez nadanie mu permanentnego prawa wydawania rozporządzeń z mocą ustaw i powolności zwykłego trybu ustawodawczego do uchylania tych rozporządzeń, należy na wypadek, gdyby te rozporządzenia były sprzeczne z Konstytucją, dać sądom możność skutecznej obrony praw obywateli, zagwarantowanych w Konstytucji.

Naszkicowany w ogólnych zarysach projekt zmiany Konstytucji 17 marca 1921 r., zachowując zasady demokratyczno-republikańskiego ustroju i uwzględniając wymogi życia, wzmacnia wszystkie władze w państwie: parlament — przez powiększenie jego kwalifikacji, rząd — przez zwiększenie jego władzy, sądy — przez nadanie im nowych uprawnień i w ten sposób wytwarza niezbędne warunki dla siły i rozwoju państwa.

Olgierd Kryczyński, Wilno.

KRYZYS I BIUROKRACJA.

Zachodzi ścisły związek pomiędzy kryzysem gospodarczym, w jaki popadliśmy, a „rozbudową“ aparatu administracji spraw publicznych — państwowych, samorządowych oraz instytucji ubezpieczeń społecznych. Taki sam związek zachodzi pomiędzy kryzysem a zagadnieniem urzędniczem, t. j. pracowników tego aparatu.

W poprzednich uwagach *) starałem się wykazać, że „aparat“ jest ponad nasze potrzeby i siły rozbudowany, że zatem pewna prymitywizacja tego aparatu, salva rei substantia, t. j. bez uchybienia zadaniom i obowiązkom państwa wobec poszczególnych obywateli kraju, a stosownie do stanu gospodarczego kraju, byłaby niezbędną. Jesteśmy, jako całość społeczna i państwowa, za ubodzy na posiadanie tak wielkiego aparatu administracji spraw publicznych i tak licznego, a przeciętnego jakościowo korpusu urzędniczego. Zamknąwszy w poprzednich uwagach streszczenie mych poglądów o niezbędnej komasacji urzędów, postaram się wskazać treściwie na zasadnicze przyczyny istniejącej dzisiaj konieczności utrzymywania z funduszów publicznych tak licznej rzeszy urzędniczej.

W wywodach swoich opieram się głównie o materjały, dotyczące urzędników państwowych. Wnioski, do których będę się starał dojść, będą miały zastosowanie mutatis mutandis i do ogółu zespołów urzędniczych: władz i instytucji samorządowych, oraz do urzędników instytucji publicznych, na których istnienie i utrzymanie obywatel państwa łoży środki finansowe pod presją rygorów usta-

---

*) P. tom XI.

wowych, a na których organizację nie ma wpływu w tym stosunku, w jakim ponosi ciężary.

Przejdę zatem pokrótce zagadnienie urzędników państwowych, powstawanie i rozrost korpusu urzędniczego w Polsce, stan obecny i jego ujemne strony.

Na wstępie przypomnę, że nie polskiem, a także nie austrjackiem, ani pruskiem jest odkrycie, iż administracja spraw publicznych jest tem sprawniejszą, im aparat administracyjny na wyższym, pod względem kwalifikacyjnym, stoi poziomie. Doskonałość i sprawność działania aparatu jest wypadkową zabiegów szeregu pokoleń. Nosi ona piętno twórczych wysiłków elity mózgów jednostek, mających kierownicze w państwie stanowiska, jest także obrazem działalności wykonawczej korpusu urzędniczego. Wysoki poziom fachowy i moralny biurokracji stoi zawsze w prostym stosunku do kwalifikacji, które wymagane są od kandydatów przy wstąpieniu do służby, tak pod względem wiedzy, jak i pod względem etyki. Naodwrót: niedbały lub lekkomyślny dobór urzędników jest stale powodem niskiego poziomu doskonałości i sprawności aparatu.

Dla przykładu porównam dawny pruski aparat urzędniczy — wrogi polskości, lecz jakościowo pierwszorzędnie dobrany — w b. zaborze pruskim, z leniwym, nisko wykwalifikowanym i bardzo przekupnym aparatem urzędniczym w b. zaborze rosyjskim. Jakość tych dwu aparatów stała w odwrotnym stosunku do stanu ilościowego.

Odradzająca się Polska nie miała w każdym z zaborów tylu urzędników, ilu byłoby potrzeba do należytego obsadzenia wszelkich gałęzi administracji publicznej. Nadwyżkę urzędników miał wprawdzie jeden z zaborów, ale znów inny z zaborów posiadał nadwyżkę zwolnionych wskutek wojny pracowników handlu i przemysłu.

Względy zawiści dzielnicowych, które ujawniły się na tle walki o byt elementu niewykwalifikowanego przeciwko wyrobionej już wartości urzędniczej, dały w rezultacie

„rozbudowę“ biurokracji, która, zwłaszcza w pierwszych paru latach, uderzała swą różnolitością, chaotycznością, brakiem spoistości i olbrzymią liczebnością.

Stało się tak, gdyż władze wprawdzie słusznie rozumiały, iż niezbędnem jest wykorzystać gotową już warstwę wyrobionych urzędników i urzędników tych istotnie powołały do służby, pod naporem jednak óczesnego czynnika „nadrzędnego“, t. j. działających na swoją rękę posłów, w grono wyrobionych już urzędników publicznych wsiąkło wiele elementu, zupełnie nie kwalifikującego się do publicznej służby, której duch jest zupełnie inny, aniżeli duch jakiejkolwiek placówki prywatno-gospodarczej. Podkreślam to specjalnie dla uwydatnienia mentalności tego elementu, który z trudem przeważnie odróżniał cele i zadania instytucji o charakterze prawno-publicznym, jakiemi są urzędy, od prywatno-prawnych placówek gospodarczych, mających za cel wygospodarować dla siebie z otaczającego je ośrodka dochodowego jak największą sumę dóbr ekonomicznych.

Ta mentalność, przy niekwestjonowanym patrjotyźmie i iście amatorskim zapale, napełniała rzesze świeżo upieczonych biurokratów, którzy bez żadnego przygotowania pozajmowali wysokie przeważnie stopnie hierarchji i bardzo odpowiedzialne stanowiska. Zachowali się na nich tak, jak wedle najlepszego sumienia i swego pojęcia o obowiązkach urzędnika publicznego winni się byli zachowywać, ale, niestety, pojęcie to było bardzo dyletanckie.

Stąd pochodzi, że, wyszedłszy z gospodarki prywatnej, rządzonej prawami ekonomiki wysiłków i kosztów własnych, wnieśli ze sobą ducha, który przeszkadzał w służbie, spełnianej dla państwa.

Zaniecham cytowania jaskrawych faktów zaśmiecania kadr urzędniczych jednostkami, których wogóle poważnie nie można było traktować. Po pierwszej zadyszce wolnościowej z 1918 r. nastąpiło pewne otrzeźwienie i następnie

bardzo mozolne i powolne nadawanie korpusowi urzędniczemu właściwego charakteru i oblicza.

Gdy w pierwszej powodzi nominacji na stanowiskach „komisarzy ludowych“ (starostów) znaleźli się nieraz b. fryzjer obok b. lekarza i b. kucharz obok b. inżyniera, to z biegiem czasu zaczęło się w społeczeństwie coraz więcej utrwalać zrozumienie, że na każdem stanowisku powinien być człowiek z odpowiedniem wykształceniem. Stanowiska lekarzy obsadzono już zatem tylko lekarzami, a nie felczerami, stanowiska inżynierskie inżynierami, a nie np. agronomami... o średniem wykształceniu, a na stanowiska, na których potrzebna było wiedza prawnicza, zaczęto wzorem cywilizowanych państw powoływać prawników. Z trudem, bardzo powoli rugowano „felczerstwo“ i „znachorstwo“ z każdej gałęzi wiedzy, stosowanej w administracji publicznej. Najtrudniejszą jednak okazała się sprawa obsadzania tych stanowisk służbowych, do których spełniania niezbędną jest wiedza i praktyka prawno-administracyjna. Do takiej służby czuł się — i czuje się dotychczas — powołanym każdy, kto tylko umie czytać. Na stanowiska, zarezerwowane przed wojną z natury rzeczy dla prawników, pchał się — i pcha się — każdy, z psychozą chłopa, który, porównując swą pracę w polu z pracą umysłową, twierdzi, że „pisać piórkiem, to nie sztuka, a trudniej jest... orać“! Mogę zaryzykować twierdzenie, że jeszcze dotychczas, poza obrębem województw zachodnich i południowych, mało kto rozumie, że na stanowiska w publicznej służbie, której celem jest strzec publicznych praw obywatela, podatnika i obrońcy kraju, jedynem właściwem wykształceniem fachowem jest wykształcenie prawnicze.

Licznym z tych, którzy nie przeszli przez igielne ucho egzaminów uniwersyteckich, wydaje się, że „papierek“ uniwersytecki może być zastąpiony przez tupet, a przeświadczenie to zostało, niestety, w ich mózgach przez decydujące w swoim czasie czynniki podtrzymane. Co gorsze, nawet niektórzy ludzie o wyższem, ale nie prawniczem wy-

kształceniu wyobrażają sobie, że wykształcenie prawnicze jest quasi rozszerzonem średniem wykształceniem ogólnem.

Mimo to zdrowy duch powiał w gmachu administracji publicznej i począł sobie torować drogę trzeźwy pogląd, iż tam, gdzie się leczy, trzeba lekarzy, a tam, gdzie się stosuje przepisy prawne, trzeba prawników i że zwłaszcza przygniatająca większość czynności administracyjnych ma charakter prawny.

Pogląd ten znalazł odbicie w ówczesnej, pierwszej ustawie uposażeniowej, która przewidywała dodatki „za wyższe studja". Korpus urzędniczy zaczął się oczyszczać z elementów niepożądanych i krzepnąć.

Niestety, siła elementu nisko ukwalifikowanego i jego protektorów pozostała tak wielką, że nowa ustawa o służbie cywilnej przewiduje już „wyjątkowe" dopuszczanie na wyższe stanowiska osób o niedostatecznych kwalifikacjach, a w ślad za tem ustawa uposażeniowa skasowała dodatek za studja wyższe. Z jednej zatem strony stosuje się „wyjątkowe" obsadzanie wyższych stanowisk przez jednostki o zbyt niskiem, albo zupełnie nieodpowiedniem wykształceniu, z drugiej zaś strony, dogadzając boleśnie kłutej ambicji dygnitarzy o domowem wykształceniu, skasowano bodziec dla ludzi o wyższem wykształceniu wstępowania do służby w administracji publicznej, wykształcenie to bowiem nie daje pierwszeństwa do wybicia się na wyższe stanowisko. Na wyższe stanowiska wydostają się nieraz jednostki o charakterze tak niespodziankowym, że ambicja utalentowanych i wykształconych urzędników młodszych coraz bardziej zamiera, a zdolniejsze jednostki, o ile mogą, opuszczają służbę publiczną. Wartościowego narybku coraz mniej wstępuje do służby, mimo, że polskie uniwersytety produkują corocznie setki absolwentów.

Odbiciem tego stanu rzeczy były przed paru laty liczne wzmianki w prasie, wykazujące, że jest bardzo niedostateczny dopływ pracowników do administracji publicznej.

Zlekceważenie wykształcenia prawniczego w służbie administracji publicznej znajduje znamienne odzwierciedlenie w rozporządzeniu Prezydenta Rzplitej „o organizacji i zakresie działania władz administracji ogólnej“ z 19 stycznia 1928 r.

Art. 34 tego rozporządzenia głosi, że „fachowi“ są ci funkcjonarjusze, którzy zajmują stanowiska, wymagające wykazania się specjalnem, teoretycznem wykształceniem fachowem“... „z wyłączeniem wykształcenia prawniczego“!...

Innym dowodem, jak spostponowanem jest wykształcenie prawnicze, będzie przykład następujący: przed paru laty wydano w pewnym dziale służby publicznej nowe ustawy. W dziale tej służby pracują na wyższych stanowiskach promiscuite prawnicy i jednostki o średniem wykształceniu. Wszystkich — w zasadzie — urzędników danego działu służby wezwano do wspólnego przygotowywania się, które zajmowało bardzo dużo pozabiurowego czasu, a następnie złożenia egzaminu z treści wydanych ustaw.

Nb. egzaminy okazały się dla dyplomowanych prawników b. łatwymi, były zaś dla nich zupełnie zbędne. Od przygotowywania się i zdawania tych egzaminów uzyskało zwolnienie szereg urzędników. Ale nie byli to najstarsi i najwytrawniejsi prawnicy. Między zwolnionymi było właśnie wielu, wobec których zastosowano już daleko idącą veniam studiorum przy mianowaniu na stanowiska I-ej kategorji.

Czy to była pomyłka? . . . Wracając do tematu, przypomnę, jak to bolszewicy, doszedłszy do władzy, wykonali hasło: „Dałoj gramotnyje“.

Czystka administracji rosyjskiej była tak dokładną i obsadzanie wszelkich stanowisk, nawet najniższych, „swoimi“ ludźmi było tak powszechne, że nawet sami czyściciele wkrótce spostrzegli się, iż trzeba nawrócić. Zwrócono się zatem do nauki i przedewszystkiem zaangażowano speców,

czyli doradców fachowych, a pozatem wzięto się na serjo do szkolenia młodego narybku inteligencji (inna rzecz, że specjalnie, komunistycznie nastawionej), zrozumiawszy, iż dobrym urzędnikiem może być tylko towarzysz o odpowiedniem wykształceniu szkolnem. Autorytet papierka wzrasta tam z roku na rok. Jeszcze może to wykształcenie nie stoi na wysokim szczeblu w rozumieniu zachodnioeuropejskiem, ale jest ono z roku na rok głębsze i z roku na rok toruje sobie w „czerwonych głowach“ drogę przeświadczenie, że „swoi“ amatorzy różnego autoramentu, różni komisarze, którzy byli i są nasadzeni po urzędach do pilnowania niekomunistów, nie wypełnią należycie zawiłych zadań administracji publicznej.

W Bolszewji zatem odkryto już ponownie starą prawdę, dochodząc do słusznego wniosku, że tylko rząd centralny może składać się z niefachowców, będących jednak przedstawicielami określonego kierunku politycznego, ale już choćby stanowiska bezpośrednio niższe, a więc czynniki, które właściwe zagadnienia resortowe rozwiązują, winny być obsadzone doświadczonymi i wykształconymi fachowcami.

Zresztą — rozumowali słusznie bolszewicy — czyż posiadanie głębszej wiedzy szkolnej i dłuższego wyszkolenia praktycznego wyklucza oswojenie się z „rewolucyjnym porządkiem“ i lojalne spełnienie obowiązków wobec rządu rewolucyjnego? Na razie pracują spece, a w miarę czasu zastąpią ich dzisiejsi komsomolcy, fachowo przygotowani. Bolszewicy, jak to widać z przebiegu zmian w zakresie urządzania administracji, doszli już do wniosku, że nawet apolityczni, a więc niekomuniści, byle fachowcy, mogą piastować wyższe stanowiska i spełniać obowiązki, wypływające z kierunku polityki rządu lepiej, niż najprawomyślniejsi komuniści. Tak jest w ogólnych zarysach u naszego wschodniego sąsiada.

Jakież stąd dla polskich stosunków wnioski i wskazania na przyszłość?

A więc po pierwsze: polski aparat biurokratyczny, niezależnie już od samej organizacji władz, urzędów i instytucji publicznych, jest bardzo niedoskonały, średni poziom jego kwalifikacji za niski, wskutek tego jest za słaby w stosunku do ciążących na nim zadań, a za to za wielki — i za drogi.

Polski, w jej ciężkiem położeniu gospodarczem, nie stać na zbyt przerosłą biurokrację. Słabo na ogół wynagradzani urzędnicy są zbyt liczni, a przez to są oni dla państwa za kosztowni.

Właśnie nastąpiło nieuniknione zredukowanie wydatków na utrzymanie korpusu urzędniczego. Rozwiązano tem jednak — chwilowo — zagadnienie tylko czasowego zniżenia wydatków budżetowych. Sprawa trwałego odciążenia budżetu przez reformę biurokracji została odwleczona, zaś o niebezpieczeństwach w związku ze zubożeniem urzędników lepiej nie mówić!

Droga do oszczędności na biurokracji prowadzi nie przez zubożenie ogółu, lecz przez zmniejszenie ilości na korzyść jakości.

Celowo zorganizowana praca, wykonywana przez fachowo ukwalifikowanych, dobrze płatnych urzędników, jest znacznie tańszą — z uwagi na jej wydajność — niż praca licznej rzeszy sił nieukwalifikowanych, pracujących niecelowo i chaotycznie. Doświadczenia przeprowadzone (także w Polsce) wykazały, że nawet najrozmaitszych rzemiosł nauczy się jednostka, posiadająca wysoki cenzus naukowy szkolny, rychlej, niż analfabeta. Zasada ta potwierdza się tem jaskrawiej, jeśli do pewnej pracy umysłowej zasadzimy jednostki o równej nawet inteligencji, ale nierównem — co do stopnia, nie co do zakresu — wykształceniu. Żadne demagogiczne argumenty o zbędności, czy „małej użyteczności" studjów wyższych w administracji publicznej nie obalą stwierdzonego doświadczeniem pewnika, że jedynie najlepiej ukwalifikowane jednostki pracować będą w takiej służbie celowo i wydatnie, a zatem tanio.

Polska musi dojść do tego stanu, aby mogła wydawać na koszta administracji spraw publicznych znacznie mniejszy odsetek swego dochodu społecznego, niż wydawała dotychczas, niemniej jednak najniebezpieczniejszą drogą jest zubożanie masy urzędniczej. Tę masę należy stopniowo znacznie zredukować, pozostawiając jedynie jednostki najwyżej ukwalifikowane. Żadne uboczne względy nie powinny tu odgrywać decydującej roli.

Należałoby zacząć od zaniechania lansowania zabawnego argumentu, że jednostki „wyjątkowo wybitne“ mogą z powodzeniem zastąpić w służbie publicznej urzędników o prawniczem wykształceniu.

Patrząc na gęste przetkanie biurokracji polskiej tak licznymi „wyjątkami“ bez właściwych studjów, możeby kto chciał łudzić się, że sprawiedliwa matka natura, poskąpiwszy Polsce genjuszów na polach nauki i sztuki, odpłaca nam z tysiąckrotną nawiązką w talentach na polu służby publicznej i że może mamy takie roje ludzi, którzy, jakkolwiek nie przygotowywali się nijak do takiego zawodu, mogą dzięki swym wyjątkowym talentom, zastępującym systematyczne fachowe przygotowanie szkolne, zajmować wszelkie odpowiedzialne stanowiska, wymagające odpowiedniego wykształcenia.

Ale w rzeczywistości jest inaczej. Administracja spraw publicznych jest czarną i niewdzięczną pracą, wymagającą wielkiego przygotowania szkolnego i przerastającą swemi wymaganiami możności należytego działania ludzi nawet najzdolniejszych, ale niefachowych.

Jest bezwątpienia dużo jednostek, które za czasów niewoli cierpiały za swoją polskość i walkę z uciskiem. O jednostkach tych Ojczyzna nie powinna zapominać i słusznem jest, aby jednostki te w wyswobodzonej z niewoli Ojczyźnie nie cierpiały niedostatku. Rozumie się zatem, że przy równych kwalifikacjach jednostki te powinny mieć pierwszeństwo w służbie publicznej, jednak w braku kwalifikacji należy dać im inne wyróżnienie. W żadnym jednak razie najbar-

dziej nawet zasłużone jednostki nie mogą wystawiać swych moralnych weksli zasług dla Ojczyzny z żądaniem pokrycia ich przez Ojczyznę „synekurami“, czyli w rzeczywistości bardzo odpowiedzialnemi, kierującemi, wysoko płatnemi stanowiskami, gdyż takie traktowanie sprawy, jak wykazuje doświadczenie wyzwolonych przez wielką wojnę krajów, bardzo przeciąża machinę biurokratyczną. Ustawa zasadnicza powinna stanąć na przeszkodzie temu niezdrowemu objawowi.

Wprowadzenie tego rodzaju ustawowej zasady zwolniłoby wszystkie rządy polskie na przyszłość od konieczności ulegania każdorazowej większości parlamentarnej i robienia wyjątków dla „wyjątkowych“ jednostek, co w rezultacie prowadzi do groźnego rozrostu biurokracji.

Rząd obecnej większości, który w sposób niedwuznaczny wykazuje należytą orjentację i konsekwentnie, wbrew wszelkiej demagogji, zamierza przeprowadzić reformy państwowe, niewątpliwie ujmie i urzędnicze zagadnienie w swoje ręce.

Spuścizna po rządach poprzednich, które prócz zaśmiecenia biurokracji elementem o domowem wykształceniu, kierowały się niejednolitem uznaniem dla pracy i działalności urzędników i funkcjonarjuszy różnych działów służby i jakby w myśl zasady divide et impera dopuściły, że w niektórych działach są pewne „dodatki“ czy „dodatkowe uposażenia“, względnie częste, regularne remuneracje, których niema w innych działach służby, powinna uledz stanowczej reformie.

To niejednolite traktowanie urzędników wzgl. funkcjonarjuszów państwa pod względem uposażeń jest również z wielu względów szkodliwe, gdyż powoduje wytwarzanie się, prócz usprawiedliwionych zawiści, także lekceważenie jednych działów służby dla państwa lub jednych stanowisk (nie mam tu oczywiście na myśli stanowisk naczelnych) w stosunku do drugich. Ta spuścizna przedmajowych stosunków domaga się głębokiej zmiany, która przez konse-

kwentną działalność musi stopniowo, w dość szybkiem tempie wydać pożądane owoce. Prawie zatem jednocześnie z p r y m i t y w i z a c j ą maszyny administracji spraw publicznych, t. j. zredukowaniem ilości władz i urzędów, może nastąpić znaczne zniżenie ilości urzędników przy jednoczesnem podniesieniu poziomu jakości.

Wprowadzenie pożądanej reformy usunie z widowni naszych swoistych s p e c ó w, naszych „radców prawnych“. K a ż d y u r z ę d n i k m u s i b y ć s w o i m w ł a s n y m r a d c ą p r a w n y m w z g l ę d n i e d o r a d c ą f a c h o w y m. Musi sobie zdawać sprawę z tego, że to, co załatwia i jak załatwia, jest bez zarzutu i że nie potrzebuje żadnej ubocznej kontroli pod względem merytorycznym. Będzie mniej „konferencji“, „narad“, „przesyłania do opinji“, będzie mniej „kolegjalności“ w załatwianiu, mniej b e z r a d n e g o k r ę c e n i a s i ę p o b i u r a c h, mniej niezdecydowania i odsyłania interesantów od Annasza do Kajfasza, mniej błędnych orzeczeń i późniejszych odwoływań — jednem słowem mniej chaosu i dyletantyzmu, mniej urzędników, ale za to ci mniej liczni będą pewni tego, co i jak załatwiają, a to będzie w rezultacie znacznie lepsze i tańsze.

Politees.

Podzielając w zasadzie powyższe uwagi autora — prawnika, znającego te sprawy z praktyki — pozwalamy sobie zamieścić na marginesie jedną tylko refleksję.

Dwóch zdań być nie może na temat, że każda fachowa praca w państwie musi być w zasadzie wykonywana przez fachowców. Słusznie przytacza autor jaskrawy przykład administracji bolszewickiej, która, po szeregu lat radykalnego dylentantyzmu, widzi się zmuszoną kształcić fachowców i obsadzać nimi stanowiska, które specjalnej fachowości wymagają.

Że odrodzona Polska w tym właśnie względzie ciężko nagrzeszyła, a dzisiaj jeszcze—chociaż już znacznie mniej—grzeszy, temu nikt bezstronny nie jest w stanie zaprzeczyć. Ale, jak żadnej reguły niema bez wyjątku, tak i w tym wypadku — postulatu obsadzania w dzisiejszych polskich stosunkach różnych stanowisk urzędowych li tylko z punktu widzenia fachowości kandydatów — zachodzi pewne wyjątkowe zastrzeżenie.

Machina administracji państwowej musi nietylko fachowo działać, ale i możliwie jednolicie. Bo jakżeby funkcjonował organizm państwa, gdyby najbardziej nawet fachowi i rutynowani funkcjonarjusze oddawali swą fachowość nie na usługi państwa, ale pod rozkazy różnych demagogicznych koterji?

Otóż rządy w Polsce odrodzonej dostały się na szereg pierwszych lat właśnie w ręce koterji demagogicznych, które — ogółem biorąc — nie dobro państwa, ale partyjne korzyści miały na oku i starały się kolejno, czy nawet równocześnie, urabiać sobie zarówno w fachowym, jak i w niefachowym świecie urzędniczym i nauczycielskim poprostu chętne narzędzia dla realizacji swych celów. W rezultacie urzędnik i nauczyciel, który jest przecież także urzędnikiem państwowym, stawał się mniej lub więcej agitatorem partyjnym w mieście i na wsi na rzecz tego lub owego demagogicznego stronnictwa.

A równocześnie wystąpiło na jaw drugie jeszcze zjawisko. Oto wielu wykwalifikowanych i rutynowanych fachowców z różnych dziedzin przedwojennej administracji zaborczej, wielu zwłaszcza prawników z tego okresu, wykazało, że nabyta wiedza fachowa, oparta na „dawnych, dobrych czasach i pojęciach“, nie jest w stanie zorjentować się i dostosować do powojennych, do gruntu zmienionych warunków. Szczegółowa analiza tego zjawiska byłaby niewątpliwie ciekawą, ale że brak tu na nią miejsca, więc stwierdzamy tylko fakt: wielu dzielnych fachowców administracyjnych, skarbowców, prawników, ekonomistów i t. d. stanęło

niemal bezradnie wobec rewolucyjnie przyspieszonej ewolucji powojennych stosunków.

Dlatego więc rządy pomajowe, chcąc zapewnić machinie państwowej przedewszystkiem niezbędną karność, jednolitość i tworzyć aparat urzędniczy, który byłby zdolny dostosować się do wymagań nowoczesnej Polski, były zmuszone przystąpić do gruntownej, choć niewątpliwie bolesnej „czystki“ personalnej we wszelkich dykasterjach urzędowych. Musiano rugować, przesiewać i przebierać, a na decydujące stanowiska mianować ludzi, którzyby na razie mieli przynajmniej dwie najniezbędniejsze kwalifikacje: dyscyplinę wobec rządu i państwa oraz zdolność do energicznego działania w zmienionych warunkach. Ucierpiał na tem wielokrotnie postulat fachowości, ale — zdaniem naszem — tamte dwie poprzednio wymienione kwalifikacje miały w danych warunkach demagogicznego rozpasania w Polsce bezwzględnie pierwszeństwo. Zbyt rutynowany bowiem fachowiec, osiwiały nad kodeksami, nie byłby w stanie dać sobie rady w walce, jaką rząd Piłsudskiego wytoczył żerującemu na państwie sejmowładztwu. A liczne szeregi „partyjnych urzędników“, ulokowanych przez endencję, Witosa i socjalistów, byłyby w dziele konsolidacji aparatu urzędniczego conajmniej kulą u nogi, jeśli nie czemś gorszem.

Stąd owe rugi i częste zastępowanie fachowców elementem wojskowym. Można system ten krytykować w szczegółach, można nawet wprost potępiać pewne poszczególne wypadki, ale niepodobna zaprzeczyć, że dla przywrócenia autorytetu państwa i władzy oraz dla niezbędnej unifikacji psychicznej aparatu administracyjnego, była to taktyka konieczna.

Ogółem biorąc, jesteśmy stanowczo zdania, że w danych, specjalnych warunkach postawienie aparatu urzędowego pod mniej fachowy, ale zato zdecydowany i energiczny rygor wojskowy dodatni wywarło wpływ na zanarchizowaną trochę partyjnictwem i nazbyt zrutynowaną mental-

ność naszych prawników administracyjnych. Podobnie obsadzanie różnych stanowisk przez rządy pomajowe „swymi ludźmi", a więc karnymi i oddanymi swej władzy przełożonej, było pociągnięciem zupełnie logicznem (choć znowu można je krytykować w wielu szczegółach) i miało w danych, przełomowych warunkach, niewątpliwie zbawienniejszy wpływ na rząd i kraj, niż pozostawienie na stanowiskach mnóstwa zakonspirowanych zwolenników partji demagogicznych. Nadto podkreślić trzeba, czemu żaden objektywny obserwator zauważyć nie może, że wśród tych dzisiejszych „nowych ludzi", niefachowców na różnych powierzonych im posterunkach, zabłysnął niejeden talent pierwszorzędny, który karnością państwową i pilnością szybko w nowym swym zakresie pracy się zorjentował i zdobył się na energję twórczą i tak śmiałe a korzystne dla kraju pociągnięcia lub na tak zdecydowane zatamowanie złego, jak na to rutynowani fachowcy-prawnicy nigdy nie byliby się w stanie odważyć. A to właśnie było dla kraju niezbędne.

Po tej korektywie, zgadzamy się jednak z autorem, że *obecnie* stopniowy powrót do normalnych stosunków jest już niewątpliwie wskazany. Nie odrazu zapewne, nie z dnia na dzień, ale ogólna tendencja systemu rządowego powinna — po usunięciu elementów niezdatnych lub opornych — zmierzać już do coraz większej stabilizacji fachowców na odpowiednich stanowiskach i tem samem *przywiązać ich* do państwa i do podjętego dzieła naprawy.

Redakcja.

ROSJA SOWIECKA W POLITYCE ŚWIATOWEJ.

III. INTERWENCJA „BIAŁEJ ARMJI" A WYZWALAJĄCE SIĘ NARODY.

Rok 1918 był rokiem zrywania stosunków z Rosją sowiecką państw koalicyjnych. Traktat Brzeski nie wytworzył przyjaznych stosunków z Niemcami, wywołał zaś niechęć Ententy i próby interwencji zbrojnej, polegającej przedewszystkiem na popieraniu białych armji. Poparcie to nie było konsekwentne, zwłaszcza ze strony Anglji. Anglja jednak, a szczególnie Francja, nie szczędziły środków materjalnych na interwencję w Rosji i dawały armjom generałów, walczących z bolszewikami, znakomite sprzęty wojskowe. Z powodu zmęczenia długoletnią wojną i wybuchu prądów rewolucyjnych w Europie, Ententa, jeżeliby nawet chciała, nie mogła była zmobilizować swych armji dla akcji w Rosji. Posyłała więc nieznaczne siły zbrojne na pomoc rosyjskiej kontrrewolucji, a częstokroć jej żołnierze przejawiali w Rosji skłonność do buntu. W 1919 r. w Odesie zbuntowały się wojska francuskie, zdemoralizowane przez propagandę bolszewicką.

Jednocześnie z wojskami białych armji prowadziły z bolszewikami walkę narody, ujarzmione niegdyś przez Rosję. Tu czynnikiem głównym była Polska, następnie Finlandja, Estonja i Łotwa oraz Gruzja, Armenja i Azerbejdżan.

Dwie Rosje walczyły z sobą. Bolszewicka i antybolszewicka. Przedstawiciele tej ostatniej byli zwolennikami jedynej, niepodzielnej Rosji, czuli się prawowitymi spadkobiercami Rosji carskiej. Ich niechęć do wyzwalania się podbitych przez Rosję krajów częstokroć uniemożliwiała kooperację wojenną z walczącymi przeciwko jarzmu bolszewickiemu

narodami. Częstokroć skierowywali oni swój oręż nie przeciwko głównym siłom bolszewickim, a przeciwko wyzwalającym się narodom.

Nie chcieli nigdy dać zobowiązania w imieniu Rosji co do ich niepodległości. Na niepodległość Polski godzili się, lecz określenie jej granic pozostawiali do decyzji rosyjskiej Konstytuanty. Generałowie ci byli przedstawicielami Rosji carskiej, należeli do najbardziej krańcowych reakcyjnych rosyjskich partji. Naprzykład Judenicz, walczący z bolszewikami nieopodal Petersburga, naczelnik frontu północno-zachodniego, skierowanego przeciwko bolszewikom, był w okresie wojny światowej naczelnikiem frontu kaukaskiego. W 1905 i 1906 r. zaznaczył się okrutnemi ekspedycjami, skierowanemi przeciwko Ormianom i Tatarom Kaukazu. W 1915 r., jako głównodowodzący kaukaskiej armji, organizuje formalne rzezie w pogranicznej batumskiej prowincji. Na początku 1916 r., pod pretekstem walki z tureckimi szpiegami, spalił i wyrżnął szereg adżarskich wsi. Następnie zwrócił się przeciwko Armenji, podejrzewając partję ormiańskich nacjonalistów, Dasznakciutiun, o wrogą akcję przeciwko Rosji. Rozpoczął rozstrzeliwanie oficerów i żołnierzy pułku erywańskiego, u których znaleziono odezwy i wydawnictwa tej grupy. Trzeba zaś pamiętać, że Dasznakciutiun, partja narodowa ormiańska, zwracała wówczas swe ostrze nie przeciwko Rosji, lecz przeciw Turcji.

Zdobycie Petersburga mogłoby więc przynieść zwycięstwo ochotniczym armjom białych generałów, walczących z bolszewikami. Gros przemysłu wojennego i mechanicznego Rosji koncentrowało się w Petersburgu. Petersburg posiadał zapasy surowców z okresu wojny światowej. Rosja przyzwyczaiła się otrzymywać rozkazy z Petersburga, więc wzięcie Petersburga podniosłoby ducha wszystkich przeciwników bolszewizmu w Rosji i oprócz tego pchnęłoby do ich obozu wszystkich tych, którzy pragnęli być zawsze ze zwycięzcami. Stawka była wielka, lecz mogła być wygraną tylko przy poparciu Finlandji i Estonji.

Sowiety w 1917 r. opanowały Finlandję, korzystając z pomocy miejscowych komunistów, lecz inteligencja i mieszczaństwo finlandzkie oraz włościaństwo wystąpiło wkrótce zbrojnie przeciwko władzy miejscowych sowietów, posiadających poparcie sowietów rosyjskich. Na czele sił zbrojnych finlandzkich stanął generał Manerheim; otrzymał on pomoc ze strony Niemców, którzy przysłali 20-tysięczny korpus pod dowództwem von Derholca. Finlandja odseparowała się od Rosji, jako państwo niepodległe. Gdy generał Kołczak, któremu podlegał Judenicz, zwrócił się do generała Manerheima z prośbą o wzięcie udziału w „wyzwoleniu stolicy północy“ i w odpowiedzi na to Finlandczycy domagali się uznania niepodległości Finlandji, Kołczak odpowiedział: „Nie dopuszczam myśli o możliwości jakichkolwiekbądź nierozwiązalnych nieporozumieniach między wyzwoloną Rosją i narodem finlandzkim“. Odpowiedź ta naturalnie nie mogła zadowolnić Finlandczyków, a wówczas generał Judenicz, bardziej obznajomiony z sytuacją na froncie petersburskim, uznał niepodległość Finlandji i zawarł z Manerheimem porozumienie. Porozumienie to jednak nie zostało potwierdzone przez Kołczaka. Finlandja została neutralną, Judenicz został pobity.

W Paryżu powstał komitet, składający się z emigracji rosyjskiej wszystkich odcieni. Reprezentował on Rosję wobec Ententy, otrzymywał stamtąd środki materjalne dla zasilania akcji armji ochotniczych przeciwko Sowietom. Z komitetu tego szły dyrektywy do generałów białych armji nieuznawania niepodległości Estonji, Litwy, Łotwy, Armenji, Gruzji, Azerbejdżanu.

Przy pomocy siły zbrojnej niemieckiej wyzwoliła się Estonja z pod panowania bolszewickiego, powstałego 18 listopada 1918 r. Uprzednio Sowiety wytworzyły sowiecką komunę w Estonji. Po odejściu wojsk niemieckich Estończycy przy pomocy Finlandczyków odpychają wszelkie zakusy czerwonej armji, która uderzała na nich z północy i połud-

nio-wschodu. Estonja staje się wkrótce przytułkiem dla białych rosyjskich armji, walczących z bolszewikami.

Sowiety wprawdzie 16 listopada 1917 r. uznały prawa wszystkich narodów do samookreślenia, aż do oddzielenia się od Rosji włącznie, jednak były wyrazicielami tradycyjnej unifikacyjnej polityki Rosji, zaprowadzającej, gdzie tylko może, swój ustrój, swe porządki państwowe i społeczne. Dążność unifikacyjna Rosji jeszcze się wzmogła ze względu na wiarę komunistów rosyjskich, że są protagonistami najdoskonalczego ustroju. Usiłowali oni zdobywać kraje nietylko od zewnątrz, ale i od wewnątrz, wywołując akcję komunistyczną wśród miejscowej ludności. Ich najście było upozorowane koniecznością pomocy swym współideowcom, jak zaborcza polityka Rosji carskiej była częstokroć upozorowaną potrzebą przyjścia z pomocą ludności jednowierczej, prawosławnej lub jednoplemiennej, słowiańskiej.

Estonja, walcząc z Sowietami, musiała poniekąd sprzymierzyć się z białą rosyjską armją, lecz rozumiała, iż ma obok siebie sprzymierzeńców, których zwycięstwo jest dla niej gorszem niebezpieczeństwem od zwycięstwa nad armjami bolszewików. Estonja przedewszystkiem liczyła się z Anglją, rachowała bowiem na jej pomoc. Prasa estońska wypowiadała opinję, że Estonja dla zachowania swej państwowej odrębności w stosunku do Rosji musi wejść w sferę wpływów Anglji. Mniemała, że posiadanie przez nią wysp Eisel i Dago, znajdujących się w pobliżu Petersburga, może skłonić Anglję do popierania jej.

Skłaniało ją to do uległości wobec Anglji, a wykorzystał to generał angielski Hoff i zażądał od Estonji przyjścia z pomocą Judeniczowi pod groźbą zaniechania wszelkiej angielskiej pomocy w przyszłości. Generałowie angielscy Hoff i Marche zarządzili porozumienie estońsko - rosyjskie przeciwko Rosji sowieckiej. Generał Marche, współpracownik Timesu, zebrał 10 sierpnia 1919 r. grono Rosjan, należących do różnych ugrupowań w Rewlu i wypowiedział mowę, w której wskazywał, że położenie północno-zachodniej armji

jest niemal katastrofalne. Bez pomocy Estończyków nie można prowadzić operacji celem zdobycia Petersburga, trzeba więc uznać Estonję, lecz Rosjanie nie posiadają zorganizowanej autorytatywnej władzy, z którą Estończycy mogliby się porozumieć. Rosjanie sami z sobą porozumieć się nie mogą. Rosjanie tylko gadają i prowadzą spory. „Ja was wezwałem, jako nabardziej wybitnych ludzi, bez różnicy partji i politycznych poglądów i daję wam 40 minut czasu. Jeżeli do 7-ej rząd nie będzie utworzony, my was porzucimy". Otóż przed 7-mą, w niespełna 40 minut, powstał rząd, niezbędny dla uznania niepodległości Estonji. 11 sierpnia generał Marche wezwał do siebie prezesa owego rządu, niejakiego Lianozowa, i dał mu do podpisania uznanie niepodległości Estonji oraz naznaczenie Judenicza głównokontrolującym północno-zachodniej armji. Z Judeniczem nie robił też ceremonji, oświadczył mu bowiem, że jeżeli nie zgodzi się na uznanie niepodległości Estonji, to on znajdzie innego głównodowodzącego.

Estończycy musieli przyjść z pewną pomocą armji Judenicza, lecz czynili to niechętnie.

Estonja posiadała wówczas 3 dywizje piechoty i dywizję pancerników. Przy owoczesnej sytuacji była to siła pokaźna; tak bolszewicy na północy, jak i wojsko Judenicza nie było liczne i liche pod względem bojowym. Ale Estończycy nie posiadali ani zapału, ani szczerej chęci do walki na terytorjum rosyjskiem o jedność i niepodległość Rosji. Admirał estoński Pitka, który brał udział w ofenzywie Judenicza, mówił: „Jeżeli północno-zachodnia biało-rosyjska armja owładnęłaby Petersburgiem i w rękach jej znalazłaby się marynarka, to po kilku tygodniach ta marynarka zjawiłaby się pod chorągwiami św. Andrzeja pod Rewlem, aby to miasto ze stolicy estońskiej republiki zdegradować do gubernjalnego miasta Rosji. Nie pomoc Judeniczowi, ale chęć owładnięcia zatoką fińską i flotą bałtycką była właściwym, ukrytym celem Estonji. Jakkolwiek dwa okręty angielskie z ciężką artylerją znajdowały się na Bałtyku i mogły swą akcję skoordy-

nować z akcją armji, idącej na Petersburg, przez bombardowanie rosyjskich fortów, jednak w chwili decydującej angielskie działa milczały. Czy była to neutralność admirała, czy myśl, że szybka restytucja Rosji nie leży w angielskiej racji stanu? Tylko, gdy białe armje ustępowały swą ciężką artylerję, angielska marynarka ostrzeliwała Krasnogórkę. Okręty te pośpieszyły wkrótce do Rygi, gdyż tam znajdował się Bermont, który planował wyzwolić Rosję od bolszewizmu przy pomocy Niemców, podając plan, by demobilizowani żołnierze i oficerowie niemieccy udawali się do Rosji, co umożliwiłoby powstanie 2-miljonowej armji niemiecko-rosyjskiej, która stałaby się czynnikiem, rozstrzygającym o losach Europy i przekreśliłaby wszystkie postanowienia państw koalicyjnych. Jedną z sił motorowych akcji interwencyjnej angielskiej oraz francuskiej była obawa, że tej interwencji dokonają Niemcy.

Ilustrację tendencji politycznych Denikina oraz Ententy w stosunku do państw, powstających po rozwaleniu się dawnego ustroju Rosji, była akcja Denikina, popierana przez Ententę przeciwko republikom kaukaskim, które po traktacie Brzeskim pod presją Niemiec były uznane przez Sowiety.

„Po zwycięstwie Ententy, która postanowiła dać wszelką pomoc armjom ochotniczym Kołczaka i Denikina, celem rozbicia bolszewików i stworzenia „jedynej, wielkiej i niepodzielnej Rosji", generał Denikin ze swą armją rozpoczął działanie przeciwko republikom kaukaskim, Anglicy zaś, którzy w tym czasie znajdowali się w kraju Zakaukaskim: w Batumie, Tyflisie i Baku, popierali jego politykę. Anglicy patrzyli na cały Kaukaz i jego rządy, jako na zjawisko przejściowe, które po ukazaniu się gospodarza Rosji musi zniknąć.

„Polityka angielska w stosunku do Kaukazu nie była konsekwentną. W tym samym czasie, gdy generałowie angielscy popierali Denikina przeciwko republikom kaukaskim, Min. Spraw Zagr. Imperjum Brytyjskiego oficjalnie

zawiadomiło delegację gruzińską, że „rząd Jego Królewskiej Mości z sympatją odniósł się do sprawy ogłoszenia niezależnej Republiki Gruzińskiej i gotów jest bronić jej uznania na konferencji pokojowej“.

„Od czasu do czasu przedstawiciel generała Denikina, generał Erdeli, oraz dowództwo angielskie komunikowali, że dowództwo armji ochotniczej nie rości żadnych pretensyj do nowo powstałych republik“ *). Zamiast jednak zwrócić siły przeciwko bolszewikom, armja Denikina napada na Republikę Górską (kaukaską) i na Gruzję i to w tym czasie, kiedy admirał Kołczak zwycięskim marszem szedł z Syberji do centralnej Rosji i posunięcie się Denikina w kierunku Moskwy mogło było zadać cios śmiertelny rządowi bolszewickiemu. 9 stycznia 1919 r. armja ochotnicza zajmuje tak zw. grupę Kaukaskich wód mineralnych, poczem rozpoczyna stopniowo podbijanie poszczególnych ludów, wchodzących w skład Republiki Górskiej.

W przeciągu kilku miesięcy Republika Górskich Narodów Kaukazu zostaje zdławioną przez armję ochotniczą, której zwycięska Ententa udzieliła pomocy, głosząc jednocześnie hasło wyzwolenia i samostanowienia narodów ujarzmionych i zakładając Ligę Narodów.

IV. WOJNA POLSKO-ROSYJSKA I STOSUNEK DO NIEJ PAŃSTW EUROPEJSKICH.

Stosunek do Polski państw koalicyjnych był nieco odmienny, niż do innych. Historja wyrobiła prawo obywatelstwa państwu polskiemu. Deklaracja Rządu Tymczasowego o niepodległości Polski zwalniała Ententę od odpowiedzialności przed przyszłą Rosją za uznanie Polski. Traktat Wersalski powołuje się na odezwę Rządu Tymczasowego, traktat też mówi o późniejszem ustanowieniu gra-

*) Jan Kawtaradze: Gruzja w zarysie historycznym, str. 152.

nic Polski na wschodzie, czekając na rosyjską Konstytuantę. Państwa Koalicji nie mogły oddać Polski państwu rosyjskiemu, bo w Rosji był bolszewizm, który naruszył umowy sprzymierzeńcze, który negował długi Rosji i dezorganizował Rosję gospodarczo. Polska była wówczas potrzebną państwom koalicyjnym, jako barjera, oddzielająca Rosję bolszewicką od Niemiec, miała narazie spełniać — jak się wyraził Clemenceau — rolę drutu kolczastego. Odebrać od Niemiec wszystkie wschodnie prowincje, ukształtować zachodnie granice Polski w ten sposób, aby stworzyć podłoże dla trwałego antagonizmu polsko-niemieckiego, lecz mieć Polskę bez prowincji, będących przedmiotem sporu polsko-rosyjskiego, Polskę, któraby była sprzymierzona z Rosją i Francją — było zadaniem polityki francuskiej.

Uważając Polskę za przyszłą sferę wpływów Francji i nie chcąc dominującego stanowiska Francji w Europie, Anglja pragnęła terytorjalnego uszczuplenia przyszłej Polski. Niech Łotwa ma Inflanty polskie, niech je sobie przeobraża w Letgalję, niech i Litwa ma Wilno wraz z ziemią Wileńską, byleby tylko Polska nie stała się właścicielką tych ziem. Litwa, Łotwa, Estonja — to wszystko słabe, nic nie znaczące organizmy polityczne, mogące być zlikwidowane bezboleśnie. Co innego Polska. Jej krwawienie się z Rosją może być niebezpieczne dla pokoju Europy.

Orężem, otrzymanym od Koalicji dla czynienia dywersji na korzyść generałów białych armji, walczących o odbudowę „jedynej, wielkiej i nierozdzielnej Rosji“, wykuwaliśmy wschodnie granice Polski, szliśmy na wschód szlakiem Batorego, mając w swych dziejach 15 wojen z Rosją i trzy powstania, a więc 18 walk o nasze ziemie wschodnie. Wiódł nas jakiś instynkt narodu, coś, co się znajdowało pod progiem świadomości obecnego pokolenia, wbrew jego politycznej dezorjentacji...

Po załamaniu się państw centralnych w Polsce, przy-

szli do władzy — z wyjątkiem Piłsudskiego, będącego Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem — przedstawiciele rosyjskiej orjentacji, pragnący „modus vivendi“ z Rosją za jakąkolwiekbądź cenę, jeszcze niedawno za cenę niepodległości narodowej. A jednak prowadziliśmy wojnę z Rosją — przymiotnik „bolszewicka“ był rzeczą nieistotną. Byliśmy ogołoceni okupacją Niemiec i Austrji, które blokadą angielską były ogładzane. Rosja, uchodząc z naszych ziem, paliła, niszczyła, przeobrażała w perzynę fabryki, wsie i miasta. Szereg bitew i potyczek niweczył bogactwa naszego kraju. Na podłożu nędzy, zburzonych warsztatów, braku pracy mógłby się u nas z łatwością rozwinąć bolszewizm, lecz wojna z bolszewikami od tego nas uchroniła. Wojna wytwarza niechęć, nienawiść do przeciwnika — więc i do jego psychologji, do jego ideologji. Wojna polsko-rosyjska wybuchła bez wypowiedzenia. Rosja bolszewicka ignorowała z początku Polskę. Kierowała tylko swe oddziały zbrojne na terytorjum Polski dla dokonania rewolucji socjalnej. Rząd Polski w nocie swej 30 grudnia 1918 r. wspomina o tem. Nie zaprzecza temu Cziczerin w swej nocie z 17 stycznia 1919 r., przyznając, że w armji sowieckiej są pułki polskie, które na własne żądanie posiadają nazwę miast polskich, z czego proletarjat tych miast może być tylko dumny.

Konflikt zbrojny polsko-rosyjski 1919 r. rozpoczął się o ziemie wschodnie dawnej Rzeczypospolitej i był walką o nasze istnienie polityczne.

W listopadzie 1918 r. Rosja bolszewicka oświadczyła, że chce pozostawać z Polską w stosunkach pokojowych, zaznaczając przytem, że nie graniczy nawet z Polską, tylko z Ukrainą, Białorusią i Litwą. Była to negacja naszych praw do ziem wschodnich. Pod tym względem Rosja sowiecka nie różniła się od carskiej i od Rosji Kiereńskiego, który objeżdżając front w 1917 r., wypowiedział w Odessie mowę, w której żalił się, że „nasi otkazaliś ot obratnawo

zawojewanja ruskich gorodow Wilna i Kowna“ (nasi zrzekli się ponownej zdobyczy rosyjskich miast Wilna i Kowna).

Skąd ustępowały wojska niemieckie — tam przychodziły bolszewickie, a z niemi komisarze bolszewiccy.

„Wiele wypadków wskazuje na politykę agresywną, imperjalistyczną sowieckiego rządu rosyjskiego, którego wojska najechały Litwę i Białoruś i zaprowadzają tam sowiecką administrację, ujarzmiają narody, odmawiając im prawa stanowienia o swoim losie. Ponieważ pewna część tych terytorjów jest bezsprzecznie polską, to te kroki godzą wprost w żywotne interesy Polski“ — pisał rząd polski 30 grudnia 1918 r.

Pułki rosyjskie o nazwach polskich wykazywały chęć wejścia do byłego Królestwa. Chęć ta nie została zrealizowaną dzięki temu, że, pomimo wszelkich przeszkód zewnętrznych i wewnętrznych, wystawiliśmy siłę zbrojną polską, tak zwaną „Polnische Wehrmacht“.

W chwili wycofywania się wojsk niemieckich z Królestwa, Nalewki zaczęły się burzyć. Odbywały się tam zgromadzenia bolszewickie, dawała się słyszeć strzelanina. Z Ostrowia przyszedł pułk siły zbrojnej polskiej i odrazu żywioły bolszewickie w Warszawie uspokoiły się. Były w wielu miejscowościach na prowincji próby rozbrajania wojska polskiego, powstającego z polskiej siły zbrojnej legjonów, P. O. W., oficerów i żołnierzy Polaków państw zaborczych, zwyciężył jednak instynkt państwowy narodu. Popularność i urok imienia Piłsudskiego były ośrodkiem krystalizacyjnym armji polskiej. Polska, jakkolwiek zniewolona walczyć na różnych frontach, okazała się zdolną stawić czoło inwazji bolszewickiej i sięgać na wschód po naszą spuściznę dziejową.

Poselstwo francuskie domagało się od Naczelnika Państwa, aby terytorja, leżące za Bugiem, Polska okupowała pod sztandarami rosyjskimi. Zostało to odrzucone przez Piłsudskiego, jako niezgodne z tradycją naszego narodu, jako coś, czego nie zniosłoby uczucie narodowe polskie.

Nasze posuwanie się na wschód wywoływało częstokroć niechęć państw koalicyjnych. Okolicznością przyjazną była wojna domowa w Rosji. 7 maja 1919 r. ówczesny głównodowodzący wojskami sowieckiemi, Wacetis, telegrafował do Lenina, charakteryzując krytyczne położenie na frontach: „Wojna na południu przyjmuje obrót nieprzyjazny dla nas... w prowincji Dońskiej nie możemy zadać stanowczego ciosu, pomimo tego, że posyłamy tam ostatnie, posiadane w naszem rozporządzeniu wolne siły. Na południowym froncie przeciwnik ma już przewagę liczebną nad nami. Zagrożona przez Kołczaka Wołga wymaga rzucenia tam naszych rezerw, dzięki czemu mogliśmy powstrzymać dalsze powodzenie jego armji. Dla powodzenia naszego musimy rzucić na wschodni front wszystkie rezerwy tego frontu. Wystawione przez Ukrainę siły, bardzo nieznaczne w stosunku do jej ludności, są rozrzucone na ogromnych obszarach i pod względem strategicznym Ukraina jest słabszą, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka. W obecnym czasie front ukraiński ma przed sobą zadanie posunięcia się przez Bukowinę w stronę Budapesztu, lecz tego zadania front ukraiński rozwiązać nie może. Front ukraiński nietylko nie mógł pomóc republice sowieckiej na Węgrzech, lecz w tyle jego wybuchło bandycko-kułackie powstanie atamana Grigorjewa. Petlura zagraża Kijowowi z północno-zachodu, co w związku z buntem na północno-wschód od Kijowa zagraża temu miastu. Front zachodni przedstawia w obecnej chwili duże niebezpieczeństwo, wobec tego, że sformowane miejscowe narodowe rządy sowieckie Białej Rusi i Litwy okazały się całkiem do niczego (nikuda niegodnymi) ...wypadnie wziąść rezerwy z jakiegokolwiekbądź frontu, mniej zagrożonego. Z zachodu występują Białopolacy, posiadający już Wilno“. (Lejkin: Pochód Judenicza, 1929).

Jeżeli wojna domowa była czynnikiem dla nas przyjaznym, umożliwiającym zwycięstwa jeszcze słabo wyrobionym, niejednolitym siłom Polski, to zwycięstwo białych

generałów nad bolszewikami byłoby dla nas niebezpiecznem. Denikin był zaopatrzony przez Koalicję, a zwłaszcza przez Francję, w znakomity sprzęt wojskowy. My byliśmy zaopatrywani w sprzęt wojskowy bardzo skąpo, co uniemożliwiało nam wytworzenie znaczniejszych sił zbrojnych. W razie, gdyby wypadło nam stoczyć walkę z Denikinem, bylibyśmy pozbawieni tej pomocy w materjale wojskowym, jaki otrzymywaliśmy ze względu na naszą walkę z Rosją bolszewicką. Były czynione próby ze strony Polski porozumienia się z Denikinem. Denikin przyjął uprzejmie delegację polską i na powitanie jej wypowiedział mowę: „Najnieszczęśliwszym dniem mego życia byłby dzień, kiedybym był zmuszony skrzyżować mój oręż z orężem polskim". Nazajutrz na telegram hołdowniczy „Prikarpatskoj Rusi" Denikin odpowiedział: „Najszczęśliwszym dniem mego życia będzie dzień zatknięcia rosyjskich sztandarów za Karpatami".

Olbrzymią zasługą Piłsudskiego było to, że w 1919 r. zgodził się na propozycję Sowietów, zakomunikowaną przez Marchlewskiego, na paromiesięczne faktyczne zawieszenie broni, w ciągu którego odbywały się tylko małe utarczki między drobnemi grupami rosyjskiemi i polskiemi. Dało to możność bolszewikom zwyciężyć Denikina, w ówczesnej sytuacji bardziej dla Polski niebezpiecznego od bolszewików.

Rok 1919 i pierwsze miesiące 1920 były okresem tryumfu dla naszego oręża. W kwietniu wyzwoliliśmy Wilno, wkrótce potem Mińsk, wkońcu osiągnęliśmy naturalne granice na wschodzie, a na północy Berezynę, Ułę i Dźwinę. W styczniu 1920 roku wyzwoliliśmy Inflanty Polskie i oddaliśmy je Łotwie, zachowując sobie fortecę dynaburską i most na Dźwinie. Na południu Kamieniec Podolski i Płoskirów były w naszych rękach.

Rosja bolszewicka żądała pokoju i mogliśmy go otrzymać na zasadzie ówczesnego naszego posiadania. Lloyd

George radził ministrowi Patkowi w Londynie zawrzeć niezwłocznie pokój z Bolszewikami.

29 stycznia 1920 roku zwierzchnia rada państw koalicyjnych uchwaliła znieść gospodarczą blokadę Rosji, co ułatwiło jej zaopatrywanie się w środki spożywcze i bojowe, a więc zwiększało jej siłę w stosunku do Polski.

Europa pragnęła szybszego wyjścia z upadku gospodarczego, wywołanego wojną. Anglja przekonała się już, że nie udało się jej zwalić panowania bolszewików przy pomocy armji rosyjskiej ochotniczej, myślała więc o zawarciu stosunków handlowych z bolszewikami. Premjer ówczesny Włoch, Nitti, jak i wielu innych ekonomistów, przeceniał znaczenie wznowienia handlu z Rosją. Nawet Szwecja, która co do uznania rządu bolszewickiego okazała się najbardziej nieprzejednanem państwem w Europie, w 1920 roku, w okresie naszych zmagań z bolszewikami, sprzedała im partję wagonów, ułatwiającą przesuwanie się wojsk rosyjskich.

Rzućmy okiem na ówczesny stan gospodarczy Europy: konsumcja pszenicy o czterdzieści kilka miljonów q mniejsza od przedwojennej, konsumcja żyta o 14 miljonów q większa. Głód węglowy odczuwał się w Europie: produkcja węglowa Wielkiej Brytanji zmniejszona o 30%, Niemiec o 11%. Niemcy jednak były zniewolone dostarczyć węgiel Francji, której kopalnie węglowe były zaledwie w stanie odbudowy; produkcja surowego żelaza w Anglji w porównaniu z 1913 rokiem zmniejszona o 20%, w Niemczech o 30%. Zmniejszyły się obroty handlu zewnętrznego Anglji: w przywozie o 11%, w wywozie o 20% w porównaniu z czasami przedwojennymi. W Niemczech obroty handlu zewnętrznego spadły do jednej trzeciej. Włochy, nieposiadające węgla i podstawowych surowców, znajdowały się w krytycznem położeniu gospodarczem. Panowało ogólne niezadowolenie, inflacja, strejki. Przewóz ładunków na danych terytorjach w 1919 r. stanowił 30% przewozu w 1913 r.,

w 1920 r. 20%. W 1918 i 1919 państwo uzyskało zaledwie 1,8 miljona ton zboża. W 1919 i w 1920 r. 3 miljony ton.

Według obliczeń sowieckiego statystyka Krycmana, w 1920 r. narodowy dochód zmniejszał się przeszło 2 i pół razy w porównaniu z 1913 r.; szacuję jednak to zmniejszenie na 3 razy.

Na początku 1920 r. nastąpiło pewne polepszenie w gospodarce sowieckich republik. W czerwcu 1920 r. posiadały one 7.500 zdrowych lokomotyw zamiast 4.140 w 1919 r. Zdjęcie blokady zezwoliło zaopatrywać się w lokomotywy w Szwecji. Szwecja więc, dostarczając lokomotyw Rosji, ułatwiała jej pochód na Polskę. Jeżeli złe warunki materjalne Rosji zmniejszały siłę jej natarcia na Polskę, to zniszczenie wojenne i słabe jeszcze odrodzenie się życia gospodarczego Polski zmniejszały jej obronność.

Państwowe dochody Polski w 1919/20 r. wynosiły 7 miljardów polskich marek. Wydatki zaś 75 miljardów m. p. Olbrzymi deficyt był pokryty emisją, która wywoływała upadek waluty. 1 stycznia 1919 r. dolar kosztował 9,8 polskich mk., 1 stycznia 1920 r. — 141,9 mk. Z upadkiem waluty podnosiły się ceny, do których z trudnością nadążały ceny pracy. Za swój zarobek robotnik, pracujący w produkcji żelaznej, mógł kupić w styczniu 1920 r. 117 kilo chleba, w lutym 169,3, w marcu 153, w kwietniu 139, w maju 115, w czerwcu 98. W tych warunkach strejki były na porządku dziennym. W 1920 r. przeciętnie co miesiąc strejkowało 57 tysięcy robotników. Bezrobotnych zaś z powodu upadku produkcji było około 200 tysięcy. Produkcja zbożowa Polski była znacznie mniejszą od przedwojennej.

	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Owies	Kartofle
	q.				
1911 — 1913 r. . . .	1.343.678	5.000.439	1.245.733	2.633.296	2.359.444
1920 r.	724.632	2.928.181	786.638	1.666.714	1.643.657

Zaczęło panować złudzenie, że zniesienie blokady Rosji wywoła polepszenie stanu gospodarczego Europy. Jakkolwiek udział Rosji przedwojennej w obrotach handlu światowego był nieznaczny, nie dochodził do 3 i pół %, jednak w zaopatrywaniu w pszenicę udział Rosji przedwojennej był znaczny, bo wynosił od 35 do 40% ogólnego przywozu pszenicy do Europy, Rosja też dostarczała pewnej ilości innych surowców.

W 1920 roku jednak rolnicza produkcja Rosji była znikoma. W Rosji panował głód, zwłaszcza po miastach. Produkcja przemysłowa w swej wartości równała się według statystyki sowieckiej 18% wielkiej produkcji i 43% małej, przedwojennej. W poszczególnych gałęziach procent ten wypadał jak następuje: węgla 27%, soli 30%, lokomotyw 14,8%, pługów 13,3%, akumulatorów 12,5%, lampek 10%, cukru 6,7%, elektrycznych maszyn i aparatów silnego prądu 5,4%, wagonów 4,2%, lanego żelaza 2,4%, rudy 1,7%, miedzi nieznaczny ułamek procentu.

Transport kolejowy Polski znajdował się w złym stanie. W 1919 roku liczono 49% chorych lokomotyw, w 1920 — 42%.

Przemysł był w stanie ruiny, z której dźwigał się powoli. Bezrobotnych było 200 tysięcy. Niestałość waluty sprzyjała konfliktom między robotnikami a pracodawcami. 1919, 1920 i 1921 rok były latami strejków w Polsce.

P. P. S., przystosowując się do nastroju mas, 29 października 1919 roku wydała proklamację przeciwko wojnie. W lutym 1920 roku centralny komitet związków zawodowych, znajdujący się pod wpływem P. P. S., wystąpił z rewolucyjnem oświadczeniem z powodu wojny. Echo strejków dolatywało na front i zarysowało się w świadomości byłych robotników żołnierzy jako objaw rewolucji. Odezwami rewolucyjnemi była zasypywana Polska przez agentów bolszewickich. Jeżeli w pierwszych początkach wojny właśnie wojna uratowała nas od bolszewizmu, to w pierwszych miesiącach 1920 roku stawała się dla nas

pewnem niebezpieczeństwem społecznem. Powodzenie militarne w 1919 roku było czynnikiem bardzo ważnym i dodatnim dla psychologji narodu. W maju 1920 roku zabłysło chwilowo oszołamiające powodzenie, które oddziałało na Polskę i Europę. Było to wzięcie Kijowa — był to jednak tylko miraż powodzenia.

Pomimo wyczerpania Polski, stosunek sił polsko-rosyjskich wydawał się nam pomyślny. Tak, możemy osiągnąć pożądane granice, a co potem? Gdzie oparcie przeciwko odrodzonej Rosji? Oto myśl, która zaprzątała Piłsudskiego. Oderwana od Rosji Ukraina w samodzielne państwo przeobrażona. Rosja przepołowiona, bardziej dążąca do zagarnięcia Ukrainy, niż wschodnich ziem Polski. Rosja bez Ukrainy, bez wywozu zbożowego, bez największego zapasu węgla w całem państwie, bez żelaza Krzywego Rogu. Rosja bez Ukrainy będzie też bez Kaukazu, z jego źródłami naftowemi, tak ważnemi dla lotnictwa. Myśl nęcąca, wybiegająca w przyszłość, zrodziła wielkie zamiary ponad siły. Wyprawa kijowska wywołała naszą klęskę. Pobiliśmy wprawdzie siły bolszewickie, zgromadzone u Teterowa. Naczelne dowództwo polskie sądziło, że wypadnie stoczyć walną bitwę pod Kijowem o Kijów. Zasadą wojny jest uderzanie w największy zasób sił przeciwnika oraz opanowanie głównego źródła jego zaopatrzenia. Głównem źródłem zaopatrzenia była Ukraina i gdybyśmy mogli tam pozostać, siły nasze produkcyjne, a więc i zasoby bojowe, wzrosłyby znacznie; bolszewickie zaś zmniejszyłyby się. Nastąpiłby stosunek sił, jeszcze bardziej dla nas korzystny.

Lecz nasze zapasy broni i sprzętu wojskowego nie dały nam możności powołania odpowiednich rezerw. Koncentrując siły na południu, osłabiliśmy się na północo-wschodzie, mieliśmy niebezpieczny pochód bolszewicki w maju, narazie powstrzymany, następnie cofanie się, czasami w porządku, z dawaniem oporu przeciwnikowi, czasami w popłochu. Byliśmy w stanie katastrofalnym.

W lipcu premier Grabski udaje się na konferencję państw koalicyjnych w Spaa, prosząc o pomoc dla Polski. Postawiono bardzo ciężkie warunki. Armja polska ma się wycofać poza linję, projektowaną przez ministra angielskiego Curzona, t. j. na linję Białystok — Brześć i to ma być w przyszłości granicą Polski od wschodu. Zrzekamy się plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim, zgadzając się na arbitraż Francji. Wzamian za to zażądano od Bolszewików zaniechania ich pochodu, grożąc interwencją zbrojną.

11 lipca 1920 r., gdy armja Polska ustępowała w popłochu przed wojskiem sowieckiem, rząd angielski zwrócił się z notą do rządu sowieckiego, w której w imię światowego pokoju domagał się zawarcia preliminarzy pokojowych między Rosją a Polską. Polskie wojska winny odstąpić do linji Curzona, w Londynie zaś winna zebrać się konferencja przedstawicieli Rosji i państw kresowych, oprócz Estonji, która już była zawarła pokój z Rosją, by przy udziale Anglji, jako pośredniczki, były uregulowane wszystkie sporne kwestje. Rząd sowiecki 17 lipca kategorycznie oświadczył, że nie przyjmie żadnego pośrednictwa między Rosją a Polską. 20 lipca Anglja wysłała nową notę, w której domagała się zaprzestania sowieckiej ofenzywy w Polsce. Nota nosiła charakter ultimatum, groziła bowiem wojną. W dwa dni potem Polska zwróciła się do Rosji z propozycją pokoju, o czem rząd sowiecki niezwłocznie zawiadomił Londyn, przyczem zawiadomił też o swej zgodzie na odbycie konferencji z państwami Ententy, lecz bez Polski i państw kresowych. Wkrótce potem odbyło się osobiste spotkanie Lloyda George'a z Millerandem i w imieniu Francji i Anglji rząd sowiecki otrzymał zawiadomienie, że państwa Ententy zgadzają się na odbycie konferencji, o ile ta konferencja zajmie się kwestją Polski i państw kresowych. Następnie zaś może dojść do zawarcia pokoju między Rosją i Ententą. 4 sierpnia nastąpiło pierwsze spotkanie przedstawicieli delegacji handlowych, Kamieniewa i Krasina, z angielskimi ministrami. Lloyd

George nie chciał jednak o niczem mówić, oprócz o Polsce, i postawił ultimatum, że jeżeli Rosja nie zaniecha ofenzywy, angielska flota za trzy dni wystąpi przeciwko niej. W tym samym czasie na Polskim froncie rozpoczęły się pertraktacje o zawieszenie broni i pokoju. Przeszły już trzy dni od angielskiego ultimatum, jednak flota angielska pozostawała dalej u brzegów Anglji. W tym samym czasie odbywały się robotnicze demonstracje w Anglji i meetingi z hasłami: „Ręce precz od Rosji!" — „Pokój z Rosją!" — „Nie pomagajcie Polsce!". 9 sierpnia odbyła się konferencja przywódców trade-unionów i partji robotniczej, która wytworzyła „Radę Czynu" i w ciągu trzech dni zwołała ogólną konferencję wszystkich politycznych i zawodowych organizacji robotniczych. 12 sierpnia konferencja postanowiła ogłosić strejk powszechny, jeżeli rząd angielski wystąpi przeciwko Sowietom. 10 sierpnia Lloyd George wystąpił w parlamencie z mową, w której dowodził, że Rosją rządzi grupa łotrów, jednak nie wspominał o wojnie, mówiąc, że trzeba czekać na rezultat mińskich pertraktacji. 17 sierpnia przemawiał po raz drugi, piorunując przeciwko „Radzie Czynu", która groziła strejkiem powszechnym.

W sierpniu 1920 r. P. P. S. wysłała do Partji Robotniczej Anglji list, w którym pisała: „1) P. P. S. zawsze walczyła przeciw przeobrażeniom Polski w narzędzie Ententy i zawsze przeciwstawiała się przymierzu z kontrrewolucyjną Rosją. Winowajcami wojny są Polska burżuazyjna i wojenna partja wśród bolszewików. Jesteśmy, jak i mniejszość bolszewicka, przeciwnikami wojny, lecz to nie mogło wojnie zapobiec. 2) Współczujemy z niepodległością Ukrainy, nie bierzemy na siebie odpowiedzialności za pochód na Kijów, ale nie zmienimy swej pozycji w stosunku do pochodu bolszewików na Warszawę. 3) Warunki pokoju: a) zupełna niepodległość Polski, nieinterwencja Rosji w sprawie Polski i vice versa; b) określenie granic Polski z Litwą, Białorusią i Ukrainą na zasadzie samostanowienia o sobie narodów, najlepiej przez plebiscyt. Praw

Rosji do Wschodniej Galicji nie uznajemy. Wschodnia Galicja może być podzielona między Polskę a Ukrainę; c) jesteśmy przeciw jednostronnemu rozbrojeniu Polski, uznajemy tylko ogólne rozbrojenie. 4) Przyszły rząd Polski będzie robotniczo-włościańskim, lecz czas na to jeszcze nie przyszedł".

14 maja 1920 r. pisał „Robotnik":

„Bezwątpienia we wszystkich krajach Europy socjaliści prowadzą kampanję na korzyść Sowieckiej Rosji... Polityka polska nie może oglądać się wyłącznie na Milleranda, Lloyd George'a i Nitti'ego; winna liczyć się z możliwością zasadniczych zmian w polityce tych państw. Proletarjat zachodu, nastrojony wrogo w stosunku do Polski, chociaż nie zdaje sobie sprawy o rzeczywistem położeniu u nas i na wschodzie, może jednak wpłynąć na wynik walki".

Od lat wielu marksiści mówili robotnikom o dyktaturze proletarjatu, która ma wprowadzić ustrój socjalistyczny po zwycięskiej rewolucji. Zdawało się robotnikom Europy, że oto zwycięska rewolucja socjalna już nastąpiła w Rosji. Sowiety są formą dyktatury proletarjatu. Kontrrewolucyjna Rosja z tą dyktaturą walczy. Polska ją wspiera, jest więc uosobieniem reakcji. Stąd podczas najścia bolszewików na Polskę Vandervelde, przywódca socjalistów belgijskich, wzywał robotników belgijskich do niedopuszczenia ładowania amunicji do Polski. W Anglji robotnicy dokowi nie zezwalali na wysyłanie amunicji i sprzętu wojennego do Polski. A. Chińczuk, szef misji handlowej rosyjskiej w Anglji, w 1927 r. pisał, że pod wpływem Krasina, szefa misji handlowej rosyjskiej, w 1920 r. robotnicy angielscy przeciwstawiali się udzieleniu przez rząd angielski jakiejkolwiekbądź pomocy Polsce.

Lloyd George był naogół usposobiony względem Rosji bolszewickiej kompromisowo i dowodził, że najlepszym sposobem osłabienia niebezpieczeństwa bolszewickiego jest zawarcie kompromisu z Rosją bolszewicką.

Gdy w lipcu 1920 r., w okresie naszych niepowodzeń, premjer Władysław Grabski pojechał na konferencję w Spaa prosić o pomoc Ententy, Lloyd George podyktował nader ciężkie warunki. Polska winna wycofać swe wojska za granicę Curzona, t. j. za linję Białystok — Brześć, wojska bolszewickie winny też wstrzymać pochód i nie przekraczać owej linji; w razie przekroczenia pomoc Ententy ma być udzieloną Polsce. Lloyd George wypowiedział wkrótce potem bojową mowę w parlamencie angielskim, którą chciał zastraszyć bolszewików. Wywołał tylko wzmożoną ich akcję wśród robotników angielskich przeciwko jakiejkolwiekbądź pomocy dla Polski.

Robert Cecil, przedstawiciel Anglji w Lidze Narodów, 30 maja 1920 r. pisał do Curzona, ministra spraw zagranicznych Anglji, obwiniając Polskę, że przygotowywała napad na Rosję i nie przyjęła propozycji pokojowych Sowietów. Ze strony Anglji nie otrzymaliśmy w 1920 r. niemal żadnej pomocy. Darowano nam aeroplan i parę sprzętów wojskowych. Znaczniejszej pomocy udzieliła nam Francja. Posłała nam 732 oficerów, 2120 żołnierzy i generała Weyganda. Pomoc ta jednak w porównaniu z siłami, jakie musieliśmy rozwinąć, była nikłą. Zwycięstwo zawdzięczamy inteligencji polskiej, która wytworzyła korpus ochotniczy i wlała w rozkładającą się armję nowego ducha.

Stosunek Niemiec do wojny polsko-bolszewickiej był bardzo skomplikowany. Bardzo niedawno zdusili Niemcy przewrót komunistyczny w Bawarji. Zwycięstwo Rosji bolszewickiej nad Polską podnosiłoby nadzieję na pomoc ze strony Rosji dla bolszewików niemieckich. Niemcy były wygłodzone, przeżywały tak ciężki stan gospodarczy, że mógł być podłożem dla ruchów bolszewickich w samych Niemczech. Pochód na Polskę Rosji bolszewickiej miał w sobie i dawne tradycyjne, zaborcze pierwiastki względem Polski, która w świadomości Rosjanina była już prawowier-

ną poddanką Rosji, lecz miał też inny pierwiastek, pierwiastek prozelityzmu z bronią w ręku. Zniweczenie Polski przez Rosję bolszewicką nosiło dla Niemiec zarodek poważnego społecznego niebezpieczeństwa. Wielu jednak Niemców mniemało, że dla ujścia z pod bolszewickiego jarzma zachodnie prowincje Polski — dawny zabór pruski — wrócą do Niemiec. W Niemczech istniała ta idea udzielenia zbrojnej pomocy Polsce za zrzeczenie się korytarza pomorskiego i plebiscytu na Śląsku. Ideę tę podzielały w Anglji wpływowe koła. Nastrój jednak mas niemieckich, zwłaszcza mas robotniczych, był dla Polski nieprzyjazny.

Mógł Traktat Wersalski oddzielić politycznie Gdańsk od Rzeszy i prawnopaństwowo związać z Polską. Gdańsk jednak nie przestawał być prowincją duchową Niemiec, podzielającą niemieckie aspiracje i przez bolesne odczuwanie oddzielenia od Rzeszy był bardziej wrogi, niż Rzesza niemiecka.

Gdy transport wojskowy, złożony z 63 jeńców bolszewickich, konwojowanych przez 6 żołnierzy polskich 3 czerwca 1920 r. musiał przejechać przez Gdańsk, otrzymawszy pozwolenie w powiecie gdańskim na przejazd uzbrojonych żołnierzy, tłum bezrobotnych robotników odbił jeńców, do czego jeden z żołnierzy angielskich głośno wzywał na ulicy. Ogromne trudności należało też przezwyciężyć przy przewozie amunicji do Polski.

10 lipca 1920 r. pierwszy statek z amunicją miał przybyć do Gdańska. Nastąpiło jednak spóźnienie wskutek trudności, jakie napotkało jego naładowanie w Salonikach. Było to wywołane przez agitację spartakusowców przeciwko wyładowaniu amunicji w Gdańsku. W porcie rozrzucono ulotki, wzywające robotników do solidarności z Rosją bolszewicką.

W międzyczasie koleje państwowe gdańskie, powołując się na rozkaz Rady Stanu, uprzedziły kierownika portu, że ładunek statku „Mein Land“, zawierający 25 wagonów, nie zostanie wyładowany do Polski, o ile polskie

przedstawicielstwo wojskowe nie przedstawi poświadczenia na każdym liście frachtowym, że ładunek nie zawiera broni i amunicji. Władze kolejowe zastrzegły sobie również, iż nawet przy przedstawieniu poświadczenia dokonają próbnych rewizji poszczególnych wagonów.

Przedstawiciel misji wojskowej Anglji, Sir Reginald, zwrócił się do Paryża i Londynu o upoważnienie sprowadzenia polskich robotników dla wyładowania amunicji. Odpowiedź jednak nie nadeszła.

21 lipca, po zawinięciu statku Tritonu do portu, toczyły się pertraktacje co do wyładunku. Robotnicy portowi oświadczyli kategorycznie, iż amunicji nie wyładują. Toward, komisarz z ramienia Ligi Narodów w Gdańsku, wskazywał, że stanowisko robotników gdańskich jest analogiczne ze stanowiskiem robotników francuskich i angielskich, którzy również odmówili ładowania amunicji, przeznaczonej dla Polski. Komisarz Toward zwracał uwagę na to, że gdy robotnicy portowi i kolejowi zastrejkują, nie będzie można przystąpić na czas nieokreślony do wyładowania 3-ch okrętów, zawierających 20 tys. ton mąki oraz lokomotyw amerykańskich. Toward powoływał się na instrukcję, nakazującą mu czuwanie nad prawidłowym transportem dla Polski, wobec czego wymawiał się od forsowania transportów amunicji, gdyż to może narazić transporty żywnościowe.

Na statku Triton znajdowało się 320 karabinów maszynowych, 14 tys. skrzyń z amunicją o wym. 7,5 cm., 11692 skrzyń z amunicją karabinową, 394 skrzyń z karabinami, 72258 różnych karabinów, 815 skrzyń z zapalniczkami, 60 skrzyń z bagnetami, 31 skrzyń, zawierających części składowe karabinów maszynowych, 992 skrzyń z amunicją, 4424 skrzyń z amunicją do karabinów maszynowych, 72 skrzyń karabinów z bagnetami, 34 worki z nasypami amunicji karabinowej. Rzecz zrozumiała, że powyższy ładunek posiadał olbrzymie znaczenie dla naszej wojny z bolszewikami. Sprawa została 27 lipca pomyślnie

załatwiona dzięki temu, że generał Hacking wydał rozporządzenie żołnierzom angielskiego bataljonu wyładowania amunicji wyłącznie na berlinki, wobec braku pewności, że dopuszczą do przewiezienia ładunku pociągami przez Gdańsk. Załadowane na Wiśle berlinki wychodziły w nocy o godz. 2-ej i przybywały do Tczewa nad Wisłą pomiędzy godz. 11 — 17-ą. Transporty były konwojowane przez żołnierzy polskich i kilku żołnierzy gdańskich. Cały transport doszedł do Tczewa 7 sierpnia o godz. 17-ej m. 30 wieczorem.

Podajemy spisanie tego incydentu według pracy p. T. Bierowskiego: Gdańska kampanja polsko - bolszewicka. Sprawy obce. Marzec, 1931.

Zatrzymujemy się na tym wypadku, gdyż on charakteryzuje stosunek Gdańska do wojny Polski z Rosją Sowiecką. Ponieważ Polska była pierwszą zaporą dla nawały bolszewickiej, która mogłaby uderzyć w Czechosłowację, zdawaćby się mogło, że Czechosłowacja musi być zainteresowaną w zwycięstwie Polski. Tymczasem Czesi, ze względu na swój tradycyjny rusofilizm, ze względu na chęć osiągnięcia wspólnej granicy z Rosją, uważając ustrój sowiecki za coś przejściowego, stali na przeszkodzie transportowi broni oraz wojska węgierskiego do Polski.

10 lipca, w chwili cofania się Polaków, Polska zwróciła się do Węgier z zapytaniem drogą nieoficjalną, czy armja węgierska byłaby w możności wysłać od 20 do 30 tys. kawalerji.

Wobec przewagi kawalerji rosyjskiej (armja Budiennego) pomoc węgierska miałaby dla Polski olbrzymie znaczenie. Rząd węgierski odniósł się do propozycji polskiej życzliwie i poseł węgierski w Warszawie udzielił informacji o pomocy wojennej, jaką Węgry mogą przysłać do Polski. Potrzeba było uzyskać zgodę Francji. 4 sierpnia poseł węgierski w Paryżu doniósł, że Francja warunkuje swą zgodę od otrzymania zgody Rumunji i Czechosłowacji. 1-ego sierpnia przyszła odpowiedź Czech, całkowicie odmowna.

Węgrzy pragnęli mimo to wysłać 12 sierpnia swe wojska narodowe na pomoc Polsce, któreby przeszły przez Rumunję. Zwycięstwo polskie uczyniło tę pomoc zbędną.

Gdy pomoc oddziałów zbrojnych była aktualną, czeska socjalna demokracja wydała następującą deklarację:

„Nie zgodzimy się za żadną cenę, dla żadnej korzyści i pod żadną presją przemocy na przejście armji białych Węgier przez nasze terytorjum. Zdajemy sobie sprawę, że w tych warunkach może być nasza republika wciągniętą w nową wojnę. Pomimo to zniesiemy raczej straszny ciężar wojny, niżbyśmy przepuścić mieli przez terytorjum nasze hordy Horty'ego. Rząd republiki czechosłowackiej wraz ze wszystkiemi warstwami ludności i prezydentem republiki uznaje zasadę najsurowszej neutralności. Może nadejść dzień, gdy walczyć będziemy o tą neutralność".

Nietylko socjalna demokracja występowała przeciwko umożliwieniu pomocy Polsce. Dziennik Urzędowy „Trybuna" zwalczał wszelkie projekty współpracy z Polską, powołując się na to, że w Jugosławji zajęto wrogie stanowisko względem wszelkiej akcji, skierowanej przeciw Rosji sowieckiej.

Poczytny organ narodowych demokratów czeskich, „Narodni Listy", pisały:

„Narody nie powinny już znosić, by je traktowano jak pionki w grze szachowej. Przeszedł już czas, gdy można było zaprzęgać ludzi do imperjalistycznych planów zagranicy. Projekty niektórych mężów stanu Ententy są dla nas niebezpieczne. Musimy uniezależnić naszą politykę zewnętrzną. Niektórzy przyjaciele nasi z Ententy nie są bezinteresownymi w swej przyjaźni. Otóż nie chcemy stać się narzędziem interesów obcych. Chcemy prowadzić niezależną politykę zewnętrzną".

Czesi oraz robotnicy wiedeńscy sprzeciwiali się przepuszczeniu broni i amunicji do Polski, wobec czego broń szła z olbrzymiem spóźnieniem. Węgrzy dostarczyli nam następujących ładunków broni:

48 milj. nabojów Mauzera,
13 milj. nabojów Mannlichera,
240 kuchen przewozowych,
200 kuchen przenośnych,
80 pieców polowych.

Ładunki te szły drogą okrężną przez Rumunję, a przez to przychodziły z bardzo dużem spóźnieniem, co ujemnie wpływało na nasze zapasy z Rosją bolszewicką o byt państwowy.

Co skłoniło Węgry do zajęcia antybolszewickiego i propolskiego stanowiska? Działały tu wypadki bliskiej przeszłości, przewrót bolszewicki na Węgrzech, niedawno przezwyciężony przez siły żywotne tego narodu. Działała też tradycyjna racja stanu Węgier, solidaryzująca się z racją stanu Polski. Węgry powojenne patrzą na Polskę, jako na ważny czynnik polityki środkowo-europejskiej, który może wpłynąć na restytucję Węgier na północy i wzmocnić ich stanowisko w Europie środkowej.

Zwycięstwo polskie nad bolszewicką Rosją wywołało olbrzymi entuzjazm wśród mieszczaństwa i włościaństwa francuskiego. W Niemczech, gdzie w pierwszej połowie 1920 r. nazywano Polskę państwem sezonowem, po zwycięstwie nad Rosją uznawano bohaterstwo i sprawność bojową Polski. Generał Sikorski w swem dziele „Francja i Polska“ pisze, że po stronie bolszewików walczyło dużo oficerów niemieckich. Jest to najzupełniej błędne, gdyż wśród jeńców nie było oficerów niemieckich.

Polska w 1920 r., jak wielokrotnie w swych dawnych dziejach, nie wyzyskała zwycięstwa nad Rosją. W traktacie Ryskim przeprowadziła absurdalną granicę, nie opartą ani na górnym Dnieprze, ani na Berezynie. Polsce zostało przyznane 30 miljonów zł. rb., z których tylko nieznaczną część Polska otrzymała i zwrócono sprzęt kolejowy wartości 29 miljonów. Rosja i Ukraina zobowiązały się zwrócić Polsce kulturalne wartości, wywiezione z Polski na mo-

cy rozporządzenia władzy carskiej. Ten ostatni punkt Rosja bolszewicka w znacznej mierze wykonała. Polska winna była zażądać od Rosji terenów kolonizacyjnych dla swych repatrjantów narodowości niepolskiej i przez to uzyskać znaczniejsze tereny kolonizacyjne na wschodzie. 18 marca 1921 r. został podpisany traktat pokojowy polsko-rosyjski. 2 maja tegoż roku odbyły się zamiany ratyfikacyjnych dokumentów. 3 sierpnia pełnomocnik Z.S.S.R. Karachan przybył do Warszawy i w tym samym czasie poseł Filipowicz do Moskwy.

W okresie ministerstwa Skirmunta zostali wydaleni z Polski Borys Sawinkow oraz inni emigranci, których rząd sowiecki obwiniał o prowadzenie akcji przeciwko Rosji. W październiku 1921 r. Polska domagała się energicznie wypełnienia zobowiązań traktatowych Rosji sowieckiej. W rezultacie otrzymała pewną kwotę à conto 30 miljonów złotych rubli, które Rosja zobowiązała się wypłacić Polsce.

Pomimo zawarcia pokoju, Rosja sowiecka prowadzi stale podjazdową wojnę z Polskę. Podtrzymywała bandy dywersyjne, które urządzały napady na dwory polskie i na przejezdnych i tylko stworzenie korpusu ochrony pogranicza zlikwidowało ową akcję. Dziełem agentów Rosji sowieckiej był zamach na cytadelę warszawską. Oprócz tego projektowane były różne zamachy terorystyczne, jak zabicie Piłsudskiego na rachunek młodzieży endeckiej i zamach dynamitowy przy odsłonięciu pomnika Poniatowskiego, który pozbawićby musiał życia generała Focha, generalicję i dygnitarzy polskich.

Prasa sowiecka i sowieckie radjo uprawiają stale agitację antypolską. Polska przedstawianą jest jako narzędzie kapitalistycznej Anglji i Francji. Polska, według agitacji sowieckiej, przygotowuje napad na Rosję.

Stosunki handlowe polsko-rosyjskie są nikłe. Nie dochodzą 2% obrotów handlu zewnętrznego Polski. Rosja

zniewoloną jest od czasu do czasu korzystać z produkcji ciężkiego przemysłu Śląska. Daje zamówienia na kredyt, gwarantowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Handel z Rosją w naszem życiu gospodarczem nie odgrywa znaczniejszej roli.

Władysław Studnicki.

